

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND

— WEEKLY FOR THE POLISH FORCES —

PRICE THREEPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 12-go maja 1945r.

Rok VII. Nr. 19

ZWYCIĘSTWO

"W ostatnich tygodniach, od chwili, gdy zaczęły się wielkie marsze od Renu i Odry, świat stał się świadkiem dramatu dotąd niespotykanego w dziejach — świadkiem samobójstwa narodu".

The Economist, 28 kwietnia.

CZY WOJNA BYŁA NIEMCOM ISTOTNIE POTRZEBNA?

Niemcy wywołali i przegrali wojnę, która — patrząc na to z niemieckiego punktu widzenia — była zupełnie niepotrzebna. Gdy 23 marca 1939 roku Hitler zawitał wraz z całą flotą niemiecką do małej Kłajpedy, Trzecia Rzesza osiągnęła pełne urzeczywistnienie swej zasadniczej idei zespolenia w granicach Grossdeutschland wszystkich terytoriów zamieszkałych przez zwartą większość mieszkańców narodowości niemieckiej.

Tego dnia Hitler był już też panem fortecy czecho-słowackiej, która czworobokiem nowoczesnych umocnień wdzierała się ostrzegawczo w serce Niemiec. Reżim narodowo-socjalistyczny miał na punkcie Czechosłowacji szczególny uraz. Przejawiał się on między innymi i w fakcie, że ilekroć Hitler stawał na zamku w Norymberdze, tylekroć podjeżdżała tam artyleria przeciwlotnicza, wypatrując z wyrażoną manią przesładowczą... samolotów czeskich.

Osiągnięcia Trzeciej Rzeszy wyrażały się wtedy nie tylko zresztą w zdobyczych terytorialnych, w których jej świat nie przeszkadzał. Dnia 23 marca 1939 zostało podpisane porozumienie niemiecko-rumuńskie, dające Niemcom pełny dostęp do rumuńskich źródeł naftowych.

Jak słusznie podkreśla brytyjski badacz okresu między dwoma wojnami, G. M. Gathorne-Hardy, nie była to umowa... "która mogłaby być zawarta z państwem czującym się rzeczywiście wolnym i niepodległym".

UZALEŻNIANIE GOSPODARSTWA I POKOJOWY PODBÓJ EUROPY

Było to przecież w okresie szerokiego gospodarczego uzależnienia Europy południowo-wschodniej od Berlina. Za tym gospodarczym uzależnieniem szły wpływy ideologiczne. Opinia bałkańska nasiąkała stopniowo narodowym socjalizmem. Oddziały rozbawionych chłopów salutowały po hitlerowsku. Tłumy chodziły na wędrownie wystawy niemieckiej "Kraft durch Freude". Język niemiecki stawał się popularny na równi z zegarkami niemieckimi i niemieckimi zabawkami, którymi Berlin zapychał okna wystaw w Budapeszcie, w Bukareszcie, w Atenach, w Sofii i w Belgradzie.

W tym kacie Europy dziwnie wiały wiatry, coraz dumniej łopoczące flagami ze swastyką na gmachach poselstw Trzeciej Rzeszy, które przekształcały się na rodzaj gubernatorstw dla satelitów Hitlera. Z podróży na Bałkany i nad Dunaj wracało się z uczuciem przerażenia, że chyba nie nie wstrzyma tam pokojowego podboju przez Trzecią Rzeszę.

Wpływ niemiecki, choć mniejszy, czuło się też coraz bardziej w krajach bałtyckich. Polskę zawojuowały niemieckie samochody, nasz Centralny Okręg Przemysłowy budował się na obrabiarkach niemieckich, otrzymywanych z Niemiec na umorzenie niemieckiego długu za tranzyt kolejowy przez Pomorze.

Tam gdzie wzrost wpływów niemieckich napotykał — jak w Pol-

sce — na sprzeciw opinii publicznej, gdzie rządy wahały się uznawać przewagę niemiecką — tam Ribbentrop przyciskał śrubę dywersyjną mniejszości niemieckiej.

Rosło stopniowo znaczenie Rzeszy na całym świecie. Niemcy z 1918 roku wracały do roli Niemiec bismarkowskich czy wilhelmińskich. Niewiadomo było, co by je w końcu mogło zatrzymać, złać, sprowadzić znowu do miary, nienaruszającej równowagi politycznej świata.

Cwiek militarysty niemieckiego, wbijany w niemieckie głowy pruskim młotkiem, naruszył — na szczęście dla świata — tę komórkę mózgu Hitlera, w której każdy maż stanu powinien mieć ześrodkowane zrozumienie dla u miaru, będącego przymiotem bodaj ważniejszym od siły woli i zdolności decyzji. Hitler postanowił zobaczyć swe wojska na polu, postanowił zabawić się w boga wojny. W maju 1945 przedłożono za to Niemcom rachunek. Płacą drogo i jeszcze długo powinni płacić w przyszłości.

BEZ WOJNY ZASZLIBY DALEJ

Wywołanie przez Niemcy wojny — ze stanowiska politycznego — było głupstwem. Bez wojny zaszliby prawdopodobnie dalej. Przedłużanie przez nich działań wojennych, poza moment, kiedy stało się jasne, że wojnę przegrali — było wyraźnym samobójstwem.

Nie należy przypuszczać jednak, że kierownictwo Trzeciej Rzeszy w ostatnich miesiącach i tygodniach postępowało zupełnie bez planu; postępowało jedynie z wolą samounicestwienia się. Niemożliwość wygrania wojny stała się dla nich jasna wtedy, gdy wojska rosyjskie stanęły na Wiśle, a armie Aliantów zachodnich na Renie. Sztab generalny niemiecki wiedział to dobrze, przebiegało to wyraźnie z komentarzy radiowych — chociażby Dietmara. Politycy Rzeszy chyba to także rozumieli — propaganda niemiecka ostatnich miesięcy więcej liczyła na zmianę koniunktury politycznej dla Nie-

miec, niż na rozstrzygnięcia militarne. Spekulowano na pęknięcie aliansu Wielkiej Trójki.

Niestety w powodzi notatek o Niemcach zginęła mi ciekawa wypowiedź Goebbelsa z początku bieżącego roku. Treść tej wypowiedzi można jednak zamknąć w zdaniu: nieważne są teraz osiągnięcia militarne na frontach, ważne jest, aby Niemcy zaoszczędzić choć część swej siły na moment, gdy dojdzie do konfliktu w łonie Narodów Zjednoczonych. Spekulacja równie nierozsądna, jak wywołanie wojny. Czy reżim morderców naprawdę mógł przypuszczać, że w razie konfliktu wśród sprzymierzonych, one, Niemcy hitlerowskie, wskoczą na miejsce tego, który z antyniemieckiego aliansu nagle wyjdzie?

HITLER ODSZEDŁ ZAPÓŹNO, ALE W PORĘ...

Sprawa Niemiec mogła i może jeszcze być powodem nieporozumień wśród Narodów Sprzymierzonych. Jednak nie sprawa Niemiec hitlerowskich. Trwanie Hitlera u władzy dawało gwarancję, że wola złamania Trzeciej Rzeszy przetrzyma i usunie w cień wszystkie inne trudności, z którymi we wzajemnych z sobą stosunkach pały i parają się narody zjednoczone. Hitler trzymając się kurczowo steru Niemiec, cementował sojusz antyniemiecki.

Niewiadomo czym by się ten sojusz skończył, gdyby Hitler był nagle ustąpił na rzecz jakiegoś Niemoellera, Faulhabera, Goerdelera, a nawet Schachta. Zwłaszcza, gdyby to się było stało przed ujawnieniem ponurych tajemnic Buchenwaldu i Dachau.

Hitler zeszedł ze sceny za późno dla Niemiec, stosunkowo w porę jednak dla ludzkości.

CO SIĘ KRYJE ZA KAPITULACJĄ NIEMIEC?

Historycy, powieściopisarze i autorzy skryptów filmowych będą mieli wdzięczne zadanie ubiegania się za szczegółami ostatnich chwil Trzeciej Rzeszy. Nieznane są jeszcze okoliczności zniknięcia

Hitlera, niewiadomo co się stało z Goebbelsem, co z resztą bandy narodowo-socjalistycznej. Fakty te nie mają dziś politycznie znaczenia. Pomińmy je i my w naszych rozważaniach, żeby szczegóły nie zaćmiewały wniosków. Należy stwierdzić:

1. Naród niemiecki do ostatka stał za reżimem. W obliczu zupełnej klęski administracja narodowo-socjalistyczna pozostawała u władzy do ostatniej chwili, choć zbliżanie się wojsk alianckich umożliwiało lokalne rewolty. Wiadomości o rzekomym zbrojnym powstaniu "ruchu wolnych Bawarczyków" były rozprzestrzeniane przez radiostacje sojuszników, nadające po niemiecku, raczej dla celów dywersyjnych. "Ruch" ten w każdym razie nie przybrał charakteru masowego.

2. Przejęcie po śmierci Hitlera kierownictwa spraw państwowych przez admirała Doenitza daje możliwość ruchowi narodowo-socjalistycznemu tłumaczyć w przyszłości, że żaden wybitny maż stanu partii nie splamił się podpisaniem kapitulacji. Hitlerizm pozostawił sobie furtkę do sławy, jako ruch niezłomny.

3. Wszystkie proklamacje, które zostały ogłoszone ze strony niemieckiej po zejściu ze sceny Hitlera, podkreślały niebezpieczeństwo bolszewizmu dla Niemiec, były przede wszystkim antyrosyjskie, próbowały i one, podobnie jak propaganda Goebbelsa, przyczynić się do powstania legendy o Trzeciej Rzeszy, jako przedmurza walczącej z komunizmem, próbowały siać nieporozumienia w obozie alianckim.

4. Niektóre posunięcia, które Alianci zachodni zrobili w związku z kończeniem się wojny w Europie i opanowywaniem przez nich Niemiec, muszą być uznane za niewłaściwe. Tylko dla przykładu: niemożność pogodzić się z myślą, że Anglosasi upoważnili księcia Bernardotte do pertraktowania z Himmlerem, chociażby na temat unconditional surrender, z Himmlerem, który pierwszy powinien odpowiadać za zbrodnie popełnione

w obozach koncentracyjnych. Wydaje się niewłaściwe, aby nawet na okres przejściowy w zajętych miastach zachodnich Niemiec porządku pilnowali dotychczasowi policjanci. W Osnabrück jeden z takich stróżów bezpieczeństwa zamknął i podpalił w gruzach domu kilka nieszczęsnych niewolnic Niemiec; nie powstrzymała go obecność wojsk alianckich.

ZAGADNIENIE NIEMIEC JESZCZE NIEROZWIĄZANE

Pokonanie Niemiec i opanowanie ich terytorium nie rozwiązuje sprawy Niemiec, bo to nie jest tylko sprawa Niemiec hitlerowskich. Niemcy to nie Włochy. We Włoszech faszyzm był ruchem ideowym, którego korzenie nie tkwiły w przeszłości narodu: został on, jak pokost nałożony na polityczną myśl Włochów.

Narodowy socjalizm wyrósł z ideologii niemieckiej przeszłości. Każde zdanie jego programu było tylko powtórzeniem myśli, które w Niemczech już kiedyś ktoś głosił. Każde krzyżowane przez niego hasło było echem uczuć, które już kiedyś ożywiały społeczeństwo niemieckie. Praktyka jego rządzenia zbudowana została na doświadczeniu kilku pokoleń. Nawet popełnione błędy były powtórzeniem jakichś błędów przeszłości.

Trzeba by unicestwić całą niemiecką przeszłość, aby zniszczyć źródła narodowego socjalizmu. Nie jest to możliwe, więc trzeba się nadal liczyć z trwaniem narodowego socjalizmu w Niemczech. Mimo klęski Trzeciej Rzeszy!

TAKA JEST MŁODZIEŻ NIEMIECKA...

Trzeba więc do tego dostosować cały program postępowania z Niemcami, aby nie mogli ziszczyć się marzenia młodego żołnierza niemieckiego, który oświadczył korespondentowi "Daily Herald" /26 marca 1945/:

"Niemcy wygrają wojnę, jeżeli nie teraz w okolicznościach wspaniałych, to w przyszłości, na daleką metę. Nie lekceważcie nas, nauczyliśmy się świętej nienawiści do świata wszystkich narodów, które odmawiają nam przestrzeni życiowej. Żołnierka i panowanie są naszym powołaniem. Nie skapitulujemy nigdy. Tysiące fanatycznej młodzieży niemieckiej są gotowe poświęcić wszystko dla uwolnienia pokonanej Ojczyzny".

Zwycięstwo nad Niemcami nie kończy zadań, które czekają narody miłujące pokój. Włączenie Niemiec w mechanizm współpracy narodów może być trudniejsze, niż wygranę z nimi wojny, będzie zaś napewno procesem dłuższym.

To wcale nie znaczy, aby chwili ustawiania działań wojennych w Europie nie czuć radości. Dla milionów znaczy to koniec ciągłej grozy śmierci i kalectwa. Dla milionów znaczy powrót do domu rodzinnego i spraw osobistego szczęścia. Dla ludności Wielkiej Brytanii, wśród której w tej najstraszniejszej z wojen znaleźliśmy przytułek i zrozumienie naszej do li — znaczy osiągnięcie najwspanialszego zwycięstwa jej historii.

Jest za co dziękować Opatrzności, jest sobie czego gratulować.

Nawet, gdy losy naszej własnej Ojczyzny i nasza osobista przyszłość, zacięzione są czarnymi chmurami zdarzeń i okoliczności, rozpetanych chaosem wojny, która naruszyła ustalone rzeczy. Die Bösen Geister, die er rief!

6 maja 1945

JÓZEF WINIEWICZ

W CHWILI, GDY TEN NUMER "POLSKI WALCZĄCEJ" IDZIE POD PRASĘ, KŁĘSKA TRZECIEJ RZESZY JEST JUŻ FAKTEM DOKONANYM, UZNANYM PRZEZ SAMYCH NIEMCÓW, PODANYM OFICJALNIE DO WIADOMOŚCI CAŁEGO ŚWIATA.

DLA MIESZKAŃCÓW TEGO KRAJU JEST TO DZIEŃ RADOŚCI I TRIUMFU. MY ŻOŁNIERZE POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH ŁĄCZYMY SIĘ Z NARODEM BRYTYJSKIM W UCZUCIACH PRZEŻYWANYCH W DNIU ZWYCIĘSTWA, TAK JAK ŁĄCZYLIŚMY SIĘ Z NIM W DNIACH NAJCIEŹSZYCH PRÓB, KŁĘSK I OSAMOTNIENIA.

ALE DLA NAS TEN DZIEŃ NIE OZNACZA TEGO SAMEGO. DLA II. KORPUSU NA FRONCIE WŁOSKIM, DLA 1 DYWIZJI PANCERNEJ, KTÓRA BIŁA SIĘ DO OSTATNIEJ CHWILI NA ZIEMI NIEMIECKIEJ, DLA ZAŁÓG POLSKICH OKRĘTÓW WOJENNYCH, DLA LOTNIKÓW POLSKICH, KTÓRZY NIE ZESZLI Z NIEBA OD WRZEŚNIA 1939 R. DO KOŃCA WALKI — TEN OCZEKIWANY DZIEŃ NIE OZNACZA TEGO SAMEGO, CO DLA KOLEGÓW BRYTYJSKICH I AMERYKAŃSKICH.

PO PRZESZŁO PIĘCIU LATACH WSPÓŁNYCH TRUDÓW, PO OFIERZE KRWI, KTÓREJ NIE CHCEMY W TEJ CHWILI MIERZYĆ — NIE DOCZEKALIŚMY SIĘ WOLNOŚCI DLA SWOICH, ANI ŁASKI POWROTU DLA SIEBIE.

MY ŻOŁNIERZE POLSCY UFAMY, ŻE NARÓD BRYTYJSKI ZROZUMIE NASZE UCZUCIA, JAK MY ROZUMIEMY JEGO RADOŚĆ I UNIESIENIE. WIERZYMY GŁĘBOKO, ŻE ZWYCIĘSKI NARÓD BRYTYJSKI BĘDZIE STAŁ PRZY NAS, ŻOŁNIERZACH KRAJU, KTÓRY NIE DOCZekał SIĘ JESZCZE SPRAWIEDLIWOŚCI, ŻE BĘDZIE STAŁ PRZY NAS, JAK MY STALIŚMY OD POCZĄTKU I STOIMY PRZY NIM W TEJ WIELKIEJ, HISTORYCZNEJ CHWILI.

KONIEC WOJNY Z NIEMCAMI

Wojna w Europie skończyła się w tempie huraganowym. Po pięciu i pół latach zaciętych zmaganiach, pochłaniających miliony ofiar, grożąca światu potęgą niemiecka, pełen taniego mistycyzmu "wielki i nieomylony" Hitler wraz z oddaną na śmierć i życie partią, Mussolini wraz z jego faszystami, hordy małych hitlerów, quislingów, entuzjastów, kolaborantów — wszystko to zważyło się w gruzach w ciągu jednego tygodnia. Myśl ledwo może nadążyć bliskawicznie rozwijającym się wypadkom, jedna wiadomość wydaje się ważniejsza od drugiej, wydarzenia tak przyspieszają nas swymi rozmiarami, że wreszcie przestajemy się czemuśkolwiek dziwić i nic nie robi już na nas wrażenia.

Spokość brytyjskie, z którego gościnności niestety wciąż jeszcze musimy korzystać, ogarnięte jest falą radości ze zwycięstwa i nadchodzącego pokoju. Nauczaliśmy się cenić, szanować i rozumieć Brytyjczyków i wiemy, że na radość ze zwycięstwa oni w pełni. Ta wojna, której zwycięski koniec dziś święcimy, mogła się skończyć Bóg wie jak tragicznie, gdyby nie wytrwałość i nieugięta wola tego wspaniałego narodu. Był bowiem moment, kiedy wydawało się, że nie nie zdola przeciwstawić się panowaniu niemieckiemu nad światem. Europa leżała u stóp Hitlera. Wielka Brytania była ostatnim bastionem obrony, którego załoga zdecydowała się bronić do ostatka. Możemy być dumni, żeśmy się wśród niej znaleźli, będąc wówczas jedynymi walczącymi sojusznikami Brytyjczyków.

Ileż zmieniło się od tego czasu, gdy dokładnie przed pięciu laty, 10 maja 1940 roku, Winston Churchill obejmował władzę, obiecując Brytyjczykom "krew, trud i pot" — jako cenę zwycięstwa. Koniec wojny zbiega się dziś symbolicznie z pięcią rocznicą tego zdarzenia, które niewątpliwie wywarło wielki wpływ na jej przebieg. Ileż rzeczywiście zmieniło się od tego czasu. Wystarczy spojrzeć na historyczną fotografię Montgomery'ego, który przyjmuje oficerów niemieckich ofiarowujących kapitulację frontu północno — zachodniego i pomyśleć o Dunkierce, o jesieni 1940 roku, gdy brakowało sprzętu, amunicji, wyszkolonego wojska, dowódców, lotnictwa i tak poważne zadania ciążyły na starszych panach z zaimprovizowanego właśnie "Home Guard'u". Lub nawet porównać kapitulację frontu włoskiego wobec Alexandra z groźną sytuacją, gdy latem 1942 roku Rommel zagrażał Egiptowi.

RÓWNIA POCHYŁA

Nadchodzi moment na szersze opracowanie badawcze przebiegu wojny z Niemcami. Wiele materiału i nawiązań dostarczą z pewnością liczni dowódcy niemieccy wzięci do niewoli przez wojska alianckie. Po-

zwoli to na wyraźniejsze odtworzenie drugiej strony medalu.

Wojna 1939 — 1945 miała, jak każda zresztą wojna, szereg bitew o znaczeniu decydującym dla dalszego przebiegu wypadków. Do tego rodzaju zdarzeń należała niewątpliwie bitwa o Wielką Brytanię, Stalingrad i Alamein. Klęska Niemiec podlegała jakby prawu przyspieszenia, działającemu na równi pochyłej. Nastąpiła ona w szeregu paroksyzmów, z których każdy następny miał gwałtowniejszy charakter od poprzedniego. Proces ten rozpoczął się pod Stalingradem i w co raz szybciej rozwijających się fazach doprowadził Rosjan poprzez Ukrainę, granice Polski, Wisłę, Odrę — aż do Berlina.

Podobny proces obserwujemy również na zachodzie. Po złamaniu oporu Niemców w Normandii zatrzymali się oni dopiero na Linii Zygryda. Po pęknięciu tej linii fortyfikacji, nawet Ren nie stanowił już przeszkody dla zwycięskiej armii sojuszników. W tej fazie wypadki rozegrały się szybko, niż w poprzedniej. Prawo równi pochyłej działało niezawodnie: czym bliżej końca, tym szybsze tempo rozgrywających się wydarzeń.

Za największy błąd Hitlera uważa się zaatakowanie Rosji przedtem, nim skończył z Wielką Brytanią. Zaniechanie inwazji Wyp Brytyjskich zmieszczało się na nim tragicznie. Jesienią roku 1940 i wiosną 1941 Wielka Brytania była bezsilna, nie mając dostatecznych sił lądowych. Próba inwazji niemieckiej wydawała się wówczas czymś nieuniknionym. Hitler nie pokusił się jednak o tę próbę.

Dlaczego? Ciekawe światło rzuca na to marsz von Rundstedt, który został wzięty do niewoli przez 9-a armię. Oświadczył on, że Niemcy nie mieli nigdy planu inwazji Anglii i nigdy nie podjęli poważniejszej próby lądowania, wiedząc, że inwazja Wyp Brytyjskich jest rzeczą niemożliwą. Barki inwazyjne zmasowane wzdłuż Kanału, które przez tak długi czas niszczyło lotnictwo alianckie, nie nadawały się — zdaniem Rundstedta — do żadnych większych operacji. Flota niemiecka — stwierdził on — była zbyt słaba i Marynarka Królewska zlikwidowałaby skutecznie próbę inwazji. Niemcy — mówił dalej — zaatakowały Rosję, zamiast W. Brytanię, będąc potęgą lądową, a nie morską. Atak na potęgę morską wydawał się zbyt niebezpieczny.

Jeżeli chodzi o przyczynę ostatecznej klęski Rzeszy — to Rundstedt podkreśla niezwykle rolę, jaką odegrało lotnictwo alianckie. Przewagę powietrzną Aliantów wymienia on jako pierwszy czynnik będący przyczyną klęski. Na następnych miejscach stawia kolejno brak materia-

łów pędnych i zniszczenie niemieckiego systemu kolejowego, co zresztą jest oczywiście wynikiem braku panowania w powietrzu. Inne czynniki które przyspieszyły ostateczną klęskę — to strata surowców, otrzymywanych początkowo z terenów podbitych, oraz zniszczenie przemysłu niemieckiego.

W chwili inwazji Rundstedt miał tak rozmieszczone swe siły, że nawet nie przewidziawszy miejsca lądowania /spodziewał się go w Holandii, Belgii lub w rejonie Bordeaux/ — mógł z łatwością przerzucić olbrzymie rezerwy, gdyby oczywiście był w stanie zapewnić im dostateczne możliwości transportu. Możliwości tych jednak nie było. Lotnictwo zniszczyło cały system komunikacyjny. Między Paryżem a Rouen nie było na Sekwanie ani jednego mostu.

BERLIN I WARSZAWA

Jedną z niewyjaśnionych dotychczas zagadek, na którą niewiele zwrócono uwagi jest — wbrew szumnym zapowiedziom — zdumiewająco krótkotrwała obrona Berlina. Obrona stolicy Rzeszy daje wiele do myślenia, gdy ją porównamy z ponad dwumiesięczną walką Warszawy. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy dla obrony Berlina zdecydowali się rzucić wszystko na jedną kartę. Obrona stolicy była dla nich nie tylko kwestią moralno-polityczną. W początkowej jej fazie chodziło o cel czysto wojskowy, jakim było utrzymanie zgrupowania się pasa między wojskami atakującymi z zachodu i ze wschodu.

Cały autorytet Hitlera i partii zaangażowany był w obronę tego miasta. W tysiącnych wystąpieniach zapowiadano, że Berlin nigdy nie będzie oddany Rosjanom. Z chwilą gdy się okazało, że Hitler przebywał w oblezionej stolicy, lub że przynajmniej zdecydowała się go tam umieścić niemiecka propaganda — było jasne, że Führer nie może przeżyć Berlina, że upadek miasta musi być końcem Führera, niezależnie od tego, co stanie się w rzeczywistości z osobnikiem, noszącym nazwisko Adolf Hitler. Gdyby bowiem wypłynął w ostatniej chwili w jakimś innym, nieokupowanym jeszcze mieście Rzeszy — nie tylko skończyłby się jako autorytet dla współczesnych Niemiec, lecz również jako bohater mitu, tworzonego na użytek przyszłych pokoleń niemieckich.

Dlatego też zarówno dla partii, jak i dla dowódców niemieckiej obrony Berlina była rzeczą niezmiernie ważną. Jakże więc tłumaczyć jej stosunkową krótkotrwałość?

Jeśli chodzi o sytuację obrońców Berlina i Warszawy, to tu w ogóle nie może być mowy o jakimś porów-

naniu. Warszawa broniła była prawie że gołymi rękami. Berlin uzbrojony był po zęby. Obrońcy jego posiadali przede wszystkim broń ciężką, jak czołgi i działa samobieżne, tak dogodne do walki w mieście, które w Warszawie używane były wyłącznie przeciw Polakom. Mieli wszelkiego typu broń nowoczesną, wspinała schrony podziemne, niewyczerpane do końca zapasy sprzętu, amunicji i żywności, podczas gdy głodujący obrońcy Warszawy liczyć musieli każdy nabój. Mieli wreszcie doskonale wyszkolony i zaprawiony do walki garnizon oraz z dawna przygotowane plany obrony.

Tych wszystkich różnic między sytuacją Berlina i Warszawy nie równoważyły bynajmniej przewaga ilościowa Rosjan w porównaniu z siłami niemieckimi oblegającymi Warszawę. W walkach ulicznych nie można zaangażować zbyt poważnych sił, a jeżeli nawet przyjąć przewagę sprzętu rosyjskiego — to była to przewaga ilościowa, lecz w żadnym przypadku nie jakościowa.

Wniosek jest jeden: żołnierz niemiecki nie posiada tych wartości, niezbędnych w tego rodzaju obronie, co żołnierz polski. Różnica żołnierskiego ducha jest uderzająca. Dlatego też Niemcy nie będą się mogli nigdy szczerzyć obroną Berlina, natomiast obrona Warszawy przejdzie na zawsze do historii nie tylko jako akt wyjątkowego bohaterstwa, lecz również jako przykład tego, czego może dokonać w najcięższych warunkach żołnierz owiany prawdziwym duchem walki, pełen ofiarności i zapału.

OSZCZERSTWA

Wśród gigantycznych bitew, które ostatecznie rozstrzygnęły o losach tej wojny, doprowadzając do tak wspaniałego zwycięstwa nad Niemcami, tragiczny los Warszawy jest oczywiście zaledwie fragmentem. Ale polityczne znaczenie Powstania Warszawskiego odżywa dzisiaj, szczególnie w świetle niedorzecznych oskarżeń, rzucanych pod adresem jego dowódcy, żołnierzy Armii Krajowej, a ostatnio — 16-tu aresztowanych kierowników Polskiej Podziemnej.

Powstanie Warszawskie miało utworzyć drogę armiom sowieckim po osiągnięciu przez nie Wisły. Było ono potężnym ciosem, zadany wrogoi w najbardziej eksponowanym punkcie jego obrony. Byłoby przedmiotem interesujących dociekań zastanowić się w jakim stopniu poparcie Powstania Warszawskiego przyczyniłoby się do przyspieszenia kampanii rosyjskiej w Polsce. Faktem jednak jest, że poparcie to nigdy nie przyszło, mimo obietnic.

Powstanie Warszawskie nie było pierwszą próbą wspomoczenia Rosjan

przez Polskę Podziemną. Operacje całych dywizji polskich na Wołyniu czy na Wileńszczyźnie, ataki na niemieckie linie komunikacyjne biegnące do frontu wschodniego, liczne akty sabotażu i zamachy na tyłach wojsk niemieckich walczących na wschodzie — wszystko to świadczy wobec świata, że Polacy uczynili tak wiele, by wesprzeć Armię Czerwoną w walce ze wspólnym wrogiem.

Reakcja opinii publicznej Zachodu na to nowe wystąpienie polityki sowieckiej świadczy, że mocarstwa anglosaskie nie zamierzają już postępować dalej po niebezpiecznej drodze stałych ustępstw w sprawie polskiej.

Aresztowanie 16-u przywódców Polskiej Podziemnej — jest nieomylnym dowodem, że Stalin nie zamierza wykonać zobowiązań, zaciągniętych w Jakiej wobec Roosevelta i Churchilla. Na zachodzie powszechnie spodziewano się, że oni będą owymi "Polakami" z kraju o których udziale w "tymczasowym rządzie jednoci narodowej" mówiła deklaracja krymska.

Dowodów tego stanowiska Rosji było zresztą więcej. Takie znaczenie miało domaganie się zaproszenia Lublina do San Francisco, zawarcie 20-letniego paktu z "Komitetem", oraz zupełnie wyraźne lekceważenie komisji ambasadorów w Moskwie.

DROGA DŁUGA I CIERNISTA

Ten nowy, tym razem szczególnie poważny zatarg w łonie "Wielkiej Trójki" nie mógł pozostać bez wpływu na konferencję w San Francisco, o której zresztą — pod wpływem historycznych wydarzeń rozgrywających się w Europie — co raz bardziej się zapomina. Na zewnątrz wszystko odbywa się w największym porządku, pracują komisje i odbywają się plenarne obrady. Nie da się jednak ukryć niewątpliwej prawdy: wśród "Wielkiej Trójki" panują podstawowe różnice co do najistotniejszego zagadnienia, jakim jest organizacja Europy. Polska, czy choćby Austria — dostarczają dostatecznych dowodów istnienia różnic.

Ponieważ organizacja światowego bezpieczeństwa, oparta o projekt z Dumbarton Oaks uzależniona jest wyłącznie od harmonijnej współpracy wielkich mocarstw — przyszłość nie przedstawia się w zbyt różowym świetle.

Tak więc nie tylko my Polacy nie możemy cieszyć się jeszcze z owoców zwycięstwa — tak bardzo, jakbyśmy chcieli. Radość ze zwycięstwa nad Niemcami jest słuszną i uzasadnioną. Cały świat osiągnął rzecz wielką, pozbywając się wreszcie na czas bardzo długi — a może na zawsze — zmyru niebezpieczeństwa niemieckiego.

Ale droga do szczęścia i pokoju Europy jest jeszcze długa i ciernista.

ZASTĘPCA

Nowości lotnicze

Zadania wielkich flot strategicznego lotnictwa Sprzymierzonych zostały w Niemczech zakończone. To lotnictwo w pełni przyczyniło się do zwycięstwa. Pamiętamy z lat poprzednich, w jakim porządku RAF i lotnictwo amerykańskie wzięły się do rzeczy. Pierwszym celem, któremu poświęcono najwięcej, bo pełne trzy lata czasu, były zakłady przemysłowe, szczególnie te, które miały bezpośrednią łączność z produkcją samolotów; po nich przyszła kolej na komunikację, wreszcie w ostatniej kolejności atakowano wytwórnię benzyny syntetycznej.

Oficjalne sprawozdanie brytyjskiego Air Ministry omawiało działania trzeciej fazy, a więc naloty na źródła niemieckiego paliwa w ten sposób:

"Żadna z dotychczasowych kampanii powietrznych nie została ukończona tak pełnym powodzeniem, jak ta, skierowana na zasoby nieprzyjacielskiego paliwa i ich produkcję" — pisze sprawozdawca.

Nie ma żadnej przesady w tym twierdzeniu. Niemcy przed rozpoczęciem nalotów przez Sprzymierzonych, produkowali miesięcznie 1,344,000 ton produktów ropy oraz 432,000 ton paliwa lotniczego i samochodowego. W połowie kwietnia 1945 wydajność produktów ropy spadła do zaledwie 7 i 1/2 %, gdy paliwa lotniczo-samochodowego do 5% dawnej produkcji.

Jest to wynik niebywały. Uchodziło bowiem dotychczas za szczyt powodzenia, jeśli udało się spowodować przez bombardowania lotnicze spadek produkcji atakowanego działu o 30%, przy czym znawcy nie bez słuszności twierdzili, że 30%-tów spadek równa się pełnemu uniemożliwieniu danego działu.

Niemiecka wytwórność paliwa, szczególnie paliwa syntetycznego, była niezwykle zdecentralizowana i składała się z szeregu małych zakładów, rozsypanych po całym obszarze Rzeszy. Pozostawienie choćby jednej większej komórki w stanie niekiermym groziło możliwością oporu w danym rejonie w ostatniej fazie walki. Dlatego bombardowcy amerykańskie i brytyjskie były aż do ostatniej chwili czynne.

Generał Spaatz, głównodowodzący amerykańskiego lotnictwa oświadczył, że niebawem poważne siły bombardowców amerykańskich będą mogły odejść na front japoński. Jednak długi czas upłynie, nim całe lotnic-

two Sprzymierzonych zostanie wycofane z lotnisk niemieckich czy francuskich. Ten czas należy liczyć raczej na lata niż miesiące. Niezależnie od istnienia innych sił okupacyjnych, w rękach lotnictwa pozostanie główna troška o pokój na terenie Rzeszy. Zapewne po pewnym czasie eskadry lotnictwa Sprzymierzonych zostaną zastąpione innymi eskadrami — mianowicie eskadrami lotnictwa międzynarodowych sił bezpieczeństwa.

Z za kulis konferencji w San Francisco dochodzą głosy świadczące, że sprawy polityki międzynarodowej rozpatruje się tam także na szczeblu militarnym. Tenże sam generał Spaatz, który uchodzi za poważnego znawcę roli lotnictwa w utrzymaniu pokoju światowego, udzielił dziennikarzom amerykańskim wywiadu na ten temat. Wyraził on przypuszczenie, że samoloty propulsyjne zajmą czołowe miejsce w orga-

nizacji sił powietrznych międzynarodowego bezpieczeństwa, szczególnie w dziale lotnictwa myśliwskiego.

Generał Spaatz przypuszcza dalej, że rozwój silników propulsyjnych /poprawnie: termiczno-strumieniowych/ pójdzie w bardzo szybkim tempie naprzód i już niebawem nie będą one konsumowały tak wielkich ilości paliwa, jak dotychczas. Pozwoli to na dalszy zasięg samolotów z takimi silnikami, a więc na przekształcenie również lotnictwa bombowego na napęd propulsyjny. Lotnictwo międzynarodowe — według jego mniemania — będzie się składało z części lotnictwa wielkich mocarstw, a więc: amerykańskiego, brytyjskiego, francuskiego i rosyjskiego i będzie zawsze utrzymywane w stałej gotowości do interwencji.

Zapewne z tą opinią generała Spaatz'a nie wszyscy będą mogli się zgodzić, bowiem jak długo w między-

narodowych siłach bezpieczeństwa nie będą brały udziału wszystkie narody "miłujące pokój" nie tylko na papierze — tak długo nie dojdzie do stworzenia takich sił, zaś w każdym razie nie dojdzie do stworzenia jednolitego nad nimi dowództwa. Bowiem zaraz przy pierwszych próbach organizacji dowództwa powtórzy się niewątpliwie "przedstawienie" z San Francisco, jakie miało miejsce przy obiorze przewodniczącego. O ile jednak można było doprowadzić do zgody przez podzielenie przewodnictwa na "przedpołudnie" i "popołudnie", o tyle podobny podział w sprawach dowodzenia nie jest możliwy.

Tak więc zorganizowanie międzynarodowych sił bezpieczeństwa nie będzie rzeczą łatwą. Zebrać w jedno miejsce paręset samolotów i oświadczyć, że to jest właśnie "siła międzynarodowa" — nie przedstawia wiel-

kich trudności. Jednak zaraz zarysowują się inne zagadnienia: Kto będzie decydował o ich użyciu? Kto będzie dowodził? Z jakich osób i jakiej narodowości będzie się składał sztab? Jaki będzie język służbowy? /musi być jednolity/? Kto będzie obsługiwał łączność i jak? Kto będzie zaopatrywał i w jaki sposób? Każde z tych pytań zawiera w sobie materiał dla wielu konferencji podobnych do tej w San Francisco.

Do tych problemów dochodzą jeszcze inne: jakie lotniska będą dostępne, a jakie niedostępne dla międzynarodowych sił powietrznych? Jeżeli zaś weźmie się także pod uwagę konieczność unifikacji sprzętu i doposażenia "udziałowców" do wszystkich najnowszych zdobyczy technicznych w dziedzinie lotnictwa w każdym z poszczególnych państw — sprawa komplikuje się jeszcze więcej.

Międzynarodowe siły muszą przecież dysponować najnowocześniejszą, najlepszą, najbardziej skuteczną bronią, by były niepokonane. Jeżeli choćby tylko jedno z państw zechce zachować swe wynalazki dla siebie — automatycznie będzie usuwało się poza kontrolę, a przy dzisiejszym postępie technicznym w rozmaitych dziedzinach — łatwo może niespodzianie przybrać postawę agresora, no i zwycięży międzynarodowe siły bezpieczeństwa — swymi siłami narodowymi.

Jedynym wyjściem z tej sytuacji jest kontrola międzynarodowa wszystkich bez wyjątku narodów, zarówno pokonanych, jak i zwycięzców w tej wojnie, zarówno małych jak i wielkich, oraz średnich państw czy mocarstw. Pociąga to za sobą kontrolę przemysłu. Dzisiejszy przemysł w całej swej rozciągłości jest związany z przemysłem zbrojeniowym, gdyż biorąc rzecz ściśle — przemysł zbrojeniowy jako część oddzielna nie istnieje; wczorajsza fabryka lokomotyw — może dziś fabrykować czołgi, a wczorajsza fabryka czekolady lub makaronu — materiały wybuchowe.

Jeżeli zaś dojdzie do międzynarodowej kontroli przemysłu — wówczas łatwo dojdzie także do unifikacji państw...

Można przypuszczać, że tak zwani znawcy organizacji pokojowych mają w tej chwili gwałtowne bóle głowy. Będą to migreny chroniczne.

M. J. GORDON

Z tygodnia na tydzień

30 kwietnia: We Włoszech wojska sprzymierzonych wkroczyły do Turynu i przeprawiły się przez rzekę Pavię na północny-wschód od Wenecji.

—Wojska sowieckie zajęły Morawską-Ostrawę.

1 maja: Admirał Doenitz, dotychczasowy głównodowodzący marynarki Rzeszy, ogłosił, że Hitler poległ w czasie obrony Berlina i że zamianował go swym następcą. Doenitz wdał apel do Niemców, aby nadal walczyli. We Włoszech armie sprzymierzonych wkroczyły do Udine i nawiązały łączność z wojskami Tito koło Montefalcone.

—St. Zjednoczone wydały komunikat, że nie uznają tymczasowego rządu austriackiego. Podobne oświadczenie wydano też ze strony brytyjskiej.

—Wojska sowieckie zajęły m. Brandenburg, a na Śląsku szereg miejscowości m.in. Bogumim i Fryszta.

—Rząd polski ogłosił tekst memorandum, wręczono konferencji

w San Francisco przez ambasadora R.P. Ciechanowskiego.

2 maja: Kapitulacja armii niemieckich tzw. "dowództwa potlach" obejmującego Włochy, Przeszarulanie, Tyrol i Salzburg i części Karyntii i Styrii. Poddano się ok. milion żołnierzy.

—Pozostała załoga Berlina kapitulowała o godz. 3 popoł.

—Wojska brytyjskie zajęły Lubekę a Rosjanie wkroczyli do Rostoku

3 maja: Hamburg podał się bez walki Brytyjczykom. We Włoszech wojska nowozelandzkie zajęły Triest.

—W Birmie wojska brytyjskie zajęły Rangoon.

4 maja: O godzinie 6 min. 25 admirał von Freidenberg oraz inni pełnomocnicy niemieccy podpisali kapitulację wszystkich niemieckich sił zbrojnych w Holandii, Danii i półn. Rzeszy. Kapitulację przyjął marsz. Montgomery. Przerwanie działań wojennych na tym odcinku nastąpiło 5 maja o godz. 8 rano.

—Wojska sprzymierzonych zajęły

Salzburg i Innsbruck. 7 armia gen. Patch przeszła przez przełęcz Brenner i połączyła się z 5 armią gen. Mark Clarka.

5 maja: Min. Eden i Stettinius ogłosili komunikat o przerwaniu rozmów z Rosją sow. w sprawach polskich — po ujawnieniu przez Molotowa że 16 przywódców demokratycznych, zaproszonych przez władze sowieckie "na konferencję" — zostali aresztowanych.

6 maja: Rząd R.P. ogłosił komunikat w sprawie aresztowanych polskich przywódców, ujawniając szczegół ich "zaproszenia" i uprowadzenia przez Rosjan.

—Ogłoszono wiadomość o uwolnieniu Naczelnego Wodza gen. Bór-Komorowskiego z niewoli niemieckiej.

7 maja: Bezwarunkowa kapitulacja całych sił zbrojnych Rzeszy podpisana w kwatrze gen. Eisenhowera przez Szefa Sztabu niemieckiego gen. Jodla.

8 maja: V-Day — Dzień Zwycięstwa nad Niemcami.

Zapomniana ziemia słowiańska

GENERAL SIĘ MYLI

W połowie kwietnia oddziały polskie, współdziałające z Armią Czerwoną, przekroczyły Nisę Łużycką. Jak donosi „Polpress”, gen. Żymierski uczył ten fakt w rozkazie dziennym nr. 70, w którym oświadczył: „W dniu dzisiejszym, bezpośrednim uderzeniem sforsowaliśmy rzekę Nisę, a następnie gromiąc wroga dalej na zachód, zajęliśmy miasto Rothenburg, po nim oporu nieprzyjaciela, a tym samym przekroczyliśmy zachodnie granice Polski. Jesteście pierwszymi Polakami, którzy z bronią w ręku weszli na ziemię niemiecką”.

Jasne jest, że nie chodzi tu o „ziemię niemiecką” w znaczeniu obszarów przedwojennych Rzeszy, bo na nich Polacy walczyli już od dawna. Jeżeli jednak chodzi o plemienną czy narodową przynależność terenu, to stwierdzić trzeba, że na zachód od Nisy leżą ziemie Łużyckie, których mieszkańcy są bodaj mniej zniemczeni, niż ludność niektórych obszarów, położonych nawet bardziej na wschód. W języku Łużyczan, prawych i zdawien dawna zasiedlonych gospodarzy tych ziem, Rothenburg nazywa się Rozborkiem, podobnie jak Bunzlau to po prostu Bolesławiec, Luckau to Łuków, a Kamenz to Kamieniec!

NAJDawniejsi MIESZKANCY ŁUŻYC

Pojęcie Łużyc kojarzymy często z dawnymi wiekami, tonącymi w pomroce przedhistorycznej. Trzeba tu jednak odróżnić dwa zupełnie różne zagadnienia, związane podobieństwem nazwy: sprawę t.zw. kultury łużyckiej i naród Serbo-Łużyczan.

Przez kulturę łużycką rozumiemy zwykle sposób życia ludności zamieszkującej mniej więcej od XIII-go do VI-go wieku przed Chrystusem całe dorzecze Odry a częściowo także dorzecza Łaby, Wisły i Dunaju. Wiadomości nasze o życiu tych szczepów opierają się głównie na cmentarzyskach, z których najstarsze znaleziono na Łużycach i stąd powstała nazwa kultury łużyckiej. Jakkolwiek wiele przemawia za tym, że kulturę tę trzeba określić jako słowiańską, spór na ten temat, rozważania, czy i w jakim stopniu oddziaływały na tę kulturę wpływy ludów bałtyckich, celtyckich i innych, które w owych odległych wiekach ziemie te najeżdżały, możemy pozostawić badaczom prehistorii.

Co natomiast nie ulega żadnej

wątpliwości, to fakt, że począwszy od czasów znacznie nowszych i lepiej znanych, a w szczególności co najmniej od VIII-go i IX-go wieku po narodzeniu Chrystusa, obszar rozciągający się mniej więcej od Bobrawy na Dolnym Śląsku na zachód po rzekę Solawę /Saale/ i od Gór Kruścowych na Północ aż po Hawelę, zamieszkały był przez naród odrębny. Jakkolwiek bywał on przez jednych określany mianem Serbów, przez innych nazwą Serbo-Łużyczan, jeszcze przez innych nazwą Wendów, niewątpliwie był narodem słowiańskim.

Pewne resztki ludności tego samego pochodzenia można było zresztą, stosunkowo do niedawna, znaleźć jeszcze także w odległych częściach Niemiec. Jak podaje jedno z międzynarodowych źródeł na przykład w Lueneburgu, położonym niedaleko Hamburga, do r. 1751 odbywały się nabożeństwa w języku wendyjskim, a ludność tamtych stron znała ten język jeszcze w pierwszej połowie XVIII-go wieku. W ciągu wieków, zasięg tych Słowian pod naciskiem Niemców kurczył się stopniowo. W zwartej masie zachowali się oni po dziś dzień na pograniczu Śląska, Brandenburgii i Saksonii i do tego właśnie materia Słowian Łużyckich wkroczyły armie marszałka Koniewa w czasie swej ostatniej ofensywy.

“W PRZECIĄGU” HISTORII

Utrzymanie się dawnych słowiańskich mieszkańców, ich języka i obyczaju na tym właśnie obszarze jest zjawiskiem wysoce zastanawiającym. Kraj ten leży bowiem na jednym z głównych szlaków naporu niemieckiego. W dawnych wiekach zwłaszcza, kiedy dolna Odra, otoczona bagnami i lasami stanowiła równie ważną przeszkodę naturalną, jak wysokie i strome ku północy opadające zbocza Sudetów, przez Łużycę, tylko lekko poprzecinane górnymi biegami Nisy, Sprewy i Halsztrawy, wiodła droga podbojów i kolonizacji, która miała doprowadzić element niemiecki, posuwający się po wydłużonym pomoście Śląska, tak daleko ku wschodowi.

Burzliwe były też losy Łużyc. W różnych okresach kraj ten naprzemian złączany był z Polską, Czechami, Miśnią i Brandenburgią, w pewnym okresie nawet z Węgrami gdy uznawano zwierzchność króla Macieja Korwina. Przez trzy wieki /XI-y, XII-y

i XIII-y/ Łużycę Dolną /Północną/ stanowiły osobną jednostkę polityczną /marchię/. W XIV-y wieku Łużycę Dolną i Górną przez pewien czas pozostawiały pod władzą czeską, poczem kraj ten oparowała Saksonia. Pokój wiedeński z r. 1815 z kolei oddał Łużycę Dolną i część Górnych Prusom. Ostatnio — Dolną Łużycę, z głównym miastem Chociebuż /Kottbus/ należały do Brandenburgii, Górne Łużycę z Budyszynem /Bautzen/ do Saksonii a ich wschodni skrawek do Śląska.

Przez kraj położony niejako “w przeciągu” historii przewalało się sporo niszczących wojen. Wojny husyckie, w czasie których Łużycanie dochowali wierności kościołowi katolickiemu, wojna trzydziestoletnia i wojny w wieku XVIII-y. Przez cały czas też — nawet gdy Łużycę należały do Czech — trwała kolonizacja niemiecka. Spotykamy tutaj to samo zjawisko, co na przykład na Śląsku, Pomorzu czy Prusach Wschodnich. Ludność tubylcza systematycznie wypierana jest z coraz wyższych gruntów, na piaski, bagna i mokradła. Często także spotykamy Łużyczan wśród warstw nieposiadających, na służbie właścicieli niemieckich.

ZASIEG DZISIEJSZYCH SŁOWIAN ŁUŻYCKICH

Mimo to, pewien trzon ludności słowiańskiej zachował się niewątpliwie. Przyznają to nawet najbardziej stronni źródła niemieckie. Na mapach ludnościowych Niemiec, innokolorowa plama Serbów Łużyckich czy też Wendów, jak chcą niektórzy autorzy niemieccy — figuruje niezmiennie, gdzieś w połowie drogi między Berlinem a Pragą, jako niezatarty dotychczas dokument przeszłości.

Ale czy tylko przeszłości? Przez pewien czas istotnie zdawać się mogło, że proces wynarodowienia doprowadzi do całkowitego zniknięcia Serbo-Łużyczan, podobnie jak doprowadził do zniknięcia tyłu innych słowiańskich szczepów zamieszkujących obszary dzisiejszych Niemiec.

W wieku XIX-y jednak nastąpiło jakieś cudowne odrodzenie świadomości narodowej na tym terenie. Powstała wcale pokaźna literatura i poezja w języku serbsko-łużyckim, łatwo zrozumiałym dla ucha słowiańskiego. /Przykłady można znaleźć w interesującej broszurze Ks. Franciszka Domańskiego wydanej w r. 1944 w Stanach Zjednoczonych i W. Brytanii./

Powstały domy narodowe i inne ośrodki kulturalne, zaczęli podnosić głos przedstawiciele Serbów Łużyckich. Równocześnie sąsiednie narody słowiańskie, Polacy i Czesi, zainteresowali się bliżej tym pobratymczym narodem, którego mowa, obyczaj i stroje ludowe tak wymownie świadczyły o bliskim pokrewieństwie.

Odrodzenie to zaalarmowało Niemców, starali się oni wszelkimi sposobami osłabić znaczenie tej mniejszości, która nagle podniosła głowę w punkcie uważanym za sam ośrodek imperium niemieckiego. Wyraziło się to przede wszystkim w stronnych statystykach, które istotnie podają liczebność Serbo-Łużyczan w rozmiarach nader skromnych, od stu trzydziestu do dwustu tysięcy głów. Szereg badaczy słowiańskich nie dowierza tym liczbom. Dr. Jan Kaczmarek na przykład w artykule ogłoszonym w numerze “Free Europe” z 2 lipca 1943, szacuje liczbę Serbo-Łużyczan na ćwierć miliona.

WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

W każdym razie i liczebność i stopień uświadomienia woli narodowej Serbo-Łużyczan musiały wydać się poprzedniej Konferencji Pokojowej nie dość przekonującymi, gdyż wołania grupy działaczy łużyckich o uwzględnienie ich odrębności w r. 1918 i 1919 nie zostały wysłuchane. Można zresztą tłumaczyć autorów traktatu wersalskiego trudnością terenowego rozwiązania zagadnienia ludności, mieszkającej jako wyspa wśród otoczenia uważanego wówczas za czysto niemieckie.

W odpowiedzi na ten zryw niepodległościowy Łużyczan, Niemcy po-wersalskie uczyniły wszystko, aby ten samotny ośrodek słowiańszczyzny ostatecznie zdusić, przy czym akcja germanizacyjna na tym odcinku nie była skrupowana żadnymi względami międzynarodowymi. Nie zapomnieli jednak o Serbach Łużyckich Polacy, Czesi i Jugosłowianie. We wszystkich tych państwach powstało sporo towarzystw przyjaciół Serbo-Łużyczan, oraz dość bogata literatura poświęcona temu narodowi. Spośród dzieci z Łużyc spędzało wakacje w Czechach a starsza młodzież częściowo kształciła się na uniwersytetach w Krakowie, Pradze i Belgradzie. W terenie istniały serbsko-łużyckie organizacje rolnicze i 80 spółdzielni. Po wybuchu wojny, w okupowanej Polsce działał Serbo-Łużycki Komitet Narodowy,

wydający własne pismo tajne. Inny Komitet, związany na emigracji zwrócił się w r. 1943 listem otwartym do premiera Churchilla, w którym podkreśla, że widzi swą przyszłość tylko w oparciu się o bratni naród polski... Już przedtem, tenże Komitet upoważnił Rząd Polski do przemawiania w jego imieniu. Czy wołania przedstawicieli Słowian Łużyckich odnoszą tym razem jakiś skutek?

W porównaniu z okresem poprzedniej Konferencji pokojowej zmieniała się znacznie perspektywa w ocenianiu tego rodzaju zagadnień. Większy jest może obecnie rozmach w przesuwaniu granic, większa w każdym razie wola zdecydowanego osłabienia Niemiec. Cały obszar obecnego zasięgu Serbów Łużyckich leży w rosyjskiej strefie okupacyjnej. Rosjanie, którzy lubią występować jako opiekunowie Słowian Zachodnich zapewne nie powtórzą błędów generała Żymierskiego i przypatrzą się dokładnie ludności Łużyc. Jeżeli tylko ludność ta wykaże jeszcze dostateczne uświadomienie narodowe i wolę oparcia nowej przyszłości na tej podstawie, sposobność po temu wydaje się jedyna.

Nie zapominajmy także o możliwości niespodzianek przy stwierdzeniu narodowej przynależności Łużyczan, dokonywanym po raz pierwszy bez nacisku władz niemieckich. Ostatecznie trudno było się spodziewać, aby większe masy ludności, wśród których pamięć o własnej państwowości musiała już bardzo osłabnąć przyznawały się do narodowości nie-niemieckiej w czasach, gdy krok taki mógł przynieść im tylko przesładowanie. Słusznie podkreśla list Serbo-Łużyckiego Komitetu Narodowego, że “przetrawiali tylko ci, którzy umieli ukryć swe pochodzenie”. Na Śląsku i na Pomorzu po ostatniej wojnie byliśmy świadkami wielu wypadków zdumiewająco szybkiego zrzucania powierzchownej powłoki niemieckiej.

Wizja wolnych od Niemców Łużyc, istniejących bądź to w oparciu o Czechy czy Polskę, bądź też samodzielnie, coś w rodzaju wschodniego odpowiednika Luksemburga, może okazać się znacznie bardziej rzeczywistą, niż na ogół przypuszcza się w szerokich kołach opinii, gdzie sprawy Łużyc są niedostatecznie znane.

Polska ma wszelkie powody po temu, aby mimo własnych trudności i zagadnień nie spuszczać z oka losów Serbo-Łużyczan.

GUSTAW GAZDA

Cień nad pokojem

Na dwa dni przed ostatecznym, bezwarunkowym poddaniem się Niemiec spadła zastona, okrywająca los kilkunastu wybitnych Polaków, którzy przez z górą pięć lat prowadzili spód ziemi walkę przeciw dziś powalonemu wrogowi. P. Mołotow oświadczył, że ci polscy przywódcy są aresztowani i czekają na sąd “za działania dywersyjne przeciw Armii Czerwonej”. Przedstawiciel Rosji w San Francisco dał to wyjaśnienie po czterdziestu dniach milczenia, po interwencjach Rządu R.P. ponawianych co pośrednictwem rządów Ameryki i Anglii, po zapytaniach wielokrotnie podnoszonych w brytyjskiej Izbie Gmin, po wzrastającym alarmie w prasie światowej.

Miarodajne wyjaśnienie p. Mołotowa przetłumaczone na język praktyczny znaczy, że Rosja zamierza postępować w Polsce i całej przypisanej sobie sferze wpływów tak, jak nieswój pamięć Adolf Hitler postępował po zbrojnym zaborze w Austrii i w innych krajach uznanych za przestrzeń życiową “Wielkich Niemiec”.

W ten sposób na ledwie narodzony pokój padł posępny cień. Nad ludzkością zawisła groźba, że od wygranej wojny otworzyć się może droga do przegranej pokoju. Bo u kresu próby nikt nie zapomniał o jej początku. Druga Wojna Światowa zaczęła się przeciw dążeniu Niemiec do zawładnięcia Europą, które miało prowadzić do władztwa nad światem i do swobody urządzania go na własny hitlerowski porządek. W tej chwili zdaje się wstawać na widnokręgu nowa groźba rządzenia kontynentem europejskim według jednej woli i według jednego wzoru. Je-

śli by taki miał być wynik potwornych zmagani, straszliwie kosztownych w krwi i dorobku ludzkim, trzeba by było stwierdzić, że wojna jest przegrana nie tylko dla zwyciężonych ale i dla — zwycięzców.

Podstępne pozabawienie wolności przywódców oznacza także koniec polityki polskiej, rozpoczętej układem lipcowym 1941 r. W ciągu kilku lat robiliśmy wszystko co można, robiliśmy więcej, niż można, aby osiągnąć uczciwe, trwałe porozumienie z Rosją. Niepomni sprzeniewierzeń, krzywd i gwałtów wyrzekliśmy się wszelkiego działania przeciw Sowietom. Pod przewodem ludzi, którzy mają stać przed sądem sowieckim, prowadziliśmy samotną wojnę na tyłach Niemców, sięgających po Leningrad i Moskwę, po rosyjskie złoża naftowe, po Kaukaz. Pod przewodem ludzi, do których wyzywający cynizm chce przyczepić zarzut “dywersji”, współdziałaliśmy z Armią Czerwoną w jej zbrojnym pochodzie przez całą Polskę. Niezniechęceni tragicznymi do-

świadczeniami Dywizji Wołyńskiej i Nowogródzkiej — przez zryw warszawski jeszcze raz chcieliśmy zadokumentować wolę wspólnej walki. Gdy Warszawa padła w gruzach przy czynnym, bezwzględnie działaniu wroga niemieckiego, przy biernym spektaktorstwie wojsk rosyjskich, stojących za Wisłą, gdy ujawnianie się pojedynczych oddziałów i dowódców kończyło się ich likwidacją, Rząd R.P. rozwiązał armię podziemną, uznał tym, że na polskim zapleczu frontowym jest tylko jedna siła zbrojna — Armia Czerwona.

Na przekór temu, co się zaczęło w Polsce od chwili zamiany okupacji niemieckiej na okupację rosyjską, krajowi członkowie rządu, prezes Rady Jedności Narodowej, przedstawiciele stronnictwa, ostatni dowódca Armii Krajowej, postanowili podjąć ostateczną próbę, ujawnić się, rokować, dążyć do porozumienia. Ze strony rosyjskiej szły do nich zaproszenia i zachęty, zaręczenia honorem i obietnice. Teraz wiemy i wie świat, że Rosja

sowiecka, licząca się do obozu narodów demokratycznych i walcząca z tyranią totalistyczną ponowiła wobec nich w potwornym wyobryzmiemieniu pamiętny gest Rosji carskiej wobec trzech senatorów Rzeczypospolitej, których Repnin porwał w biały dzień i uwięził do Katugi.

Ten aż nieprawdopodobny gwałt, to łamanie słowa danego współpartnerom narady jaltańskiej, łamanie słowa danego ludzkości, którzy zaufali siłę stokród od nich silniejszej — unicestwienia wszystkie wysiłki i możliwości porozumienia polsko-rosyjskiego. To działanie pozostające w absolutnej sprzeczności z normami, przyjętymi na Zachodzie ujawnia ostatecznie, do czego Rosja dąży w Polsce, w całej Europie wschodniej i środkowej. Dla opinii świata cywilizowanego jest w tej chwili oczywiste, że zapewnienia o “silnej”, “niepodległej” i “demokratycznej” Polsce są podobnym kłamstwem, jak te, w których celował Adolf Hitler.

W świetle ostatnich wydarzeń, sprawa Polski, jej bytu, jej przyszłości jeszcze raz staje jako sprawdzian sił i wartości walczących w tej chwili na odcisku świata i na biegu życia. Na Polsece okaże się do czego zdąża ludzkość, święcąc w tych dniach upadek jednej, okrutnej, rozdeptanej pychy, szatanisko zaślepionej tyranii. Przez los Polski obwieści się los Europy i los dalszych kontynentów.

Sytuacja jest pełna głębokiej powagi i dla nas i dla wszystkich ludzi świadomych. Ale zdając sobie sprawę z tej powagi trzeba pamiętać, że Anglo-Sasi stoją w tej chwili mocną stopą na gruncie europejskim, że władają europejskim niebem. Trzeba pamiętać, że to od ciosu z zachodniej strony padła ostatecznie potworna machina hitlerowska. Po tej także stronie są czynniki moralne, jakkolwiek byśmy krytykowali chęć kompromisu, zgody, porozumienia nawet za wysoką, czasem zbyt wysoką cenę. Nie tylko ludy wyzwolone, ale zwyciężeni Niemcy dają bezustannie świadectwo uznania moralnej wartości zwycięzcy, uchylając się od rąk rosyjskich, poszukując od-dania się w ręce wojsk brytyjskich i amerykańskich.

Jesteśmy po stronie tej siły i tych wartości, z których ona rośnie, które wyraża i których broni. Wierzymy, że nie zawiedzie ona naszego narodu umęczonego ponad miarę. Wierzymy, że nie zawiedzie ona sama siebie, że odepchnie cień nachylający się nad upragnionym pokojem — pokojem wolnych ludzi i wolnych narodów.

ALEKSANDER JANOWSKI

Poszukiwany — Józef Jerzy ARCHIMOWICZ, ppor. 86 pp., architekt z Wilna, przebywał w ZSRR. w Starobielsku, w oficjalnych spisach zaginionych z obozów rosyjskich — nie figuruje. Pożądana najmniejsza wiadomość. Zgłoszenia pod adresem: Cpt. Eng. Edward Rayski, Palestine, Jerusalem, Polish Red Cross P.O.B. 1010.

Wreszcie ukazała się książka “W PUSTYNI I W PUSZCZY”

H. Sienkiewicza

po angielsku /In Desert and Wilderness/ 303 str. dużego formatu, w ozdobnej oprawie

Cena 21/-

Nakładem SKŁADNICY KSIĘGARSKIEJ 8, Hope Street, Edinburgh.

W drodze do dywizjonu

Kiedy opuszczasz stację R.A.F'u, przenosząc się na inną, adiutant wydaje ci wielki arkusz papieru: *Clearance Certificate*, na którym masz zebrać podpisy wielu, wielu miejscowych władz, instytucji i biur, na dowód, że takowe nie zgłaszają pretensyj materialnych lub moralnych, które, po twym wyjeździe, mogłyby ulec przedawnieniu, ku szkodzie Skarbu, lub obrażeniu Króla, bądź Służby. Tak więc — podpis sekretarza messy, że rachunek kasynowy zapłacony, podpis bibliotekarza, że książki zwrócone /nigdy nie wiedziałeś, że jest biblioteka/, podpis instruktora P.T., że majtki gimnastyczne oddane, podpis oficera gazowego, że maska w porządku /na każdej stacji przy tej okazji dokładają ci jeszcze jedną tubę podejrzaną pasty/. Ogólnie — zbierasz zaświadczenia, że nie ze stacji ze sobą nie zabierasz, a niczego co twoje własne, nie zostawiasz.

Wręcz odwrotnie wygląda *Clearance Certificate*, kiedy dostajesz *posting* z G.S.U. /Group Support Unit, po polsku: "Grunt Się Ubrać"/ do dywizjonu na Kontynencie w T.A.F. /Tactical Air Force, po polsku: Towarzystwo Amatorów Flaszki/. Tutaj w G.S.U. zmuszają cię do ubrania się w wiele rzeczy nie twoich, a z twoich własnych każą ci zostawić wszystko ponad sto sześćdziesiąt funtów wagi.

Pierwszym przedmiotem, który mi siłą wcisnęli do rąk, był rewolwer.

Następnym utrapieniem było łóżko polowe, wraz ze składaną wanną, miednicą, wiadrzem, krzesłem i innymi meblami nieodgadnionego użytku. Mam zabrać nie więcej, niż sto sześćdziesiąt funtów, a ten cały *camp-kit* sam waży ze sto pięćdziesiąt! A rewolwer z amunicją, a opony i dętki rowerowe /do sprzedania z ogromnym zyskiem w Belgii lub Holandii/, a zapas mydła? — Kawałkiem mydła, powiedzieli, podbijesz serce najpiękniejszej kobiety w Paryżu. Więc zapakowałem tużin mydeł — byle na pierwsze dwa tygodnie.

Przez pierwsze trzy dni będę czołowałem unieszczęśliwiony przez lekarza: lewe ramię mam nabrzmiałe szczepionkami wszystkich kontyentalnych chorób, a w całym ciele czuję po tych zastrzykach dziwne zobojętnienie dla doczesnych uciech tego świata; podejrzywam, że to właśnie jest głównym celem szczepienia. A kiedy prosiłem lekarza o zastrzyk na uwiad starczy, to powiedział, że wojna nie potrwa już dłużej niż rok, więc do tego czasu jeszcze jakoś dam sobie radę.

Na koniec trzeba pozbyć się banknotów funtowych i podpisać deklarację, że się ich nie przemyci na Kontynent. Deklaracja rozpoczyna się od słów: "Klnę się uroczyście" . . . /I swear solemnly/, więc resztki uczciwości każą mi roztrwonić resztki gotówki. Łątwo mi to przychodzi w kasynowym barze, zwłaszcza że na tej samej stacji gości Wacek. Wacek twierdzi wprawdzie, że jest abstynentem, ale to stwierdzenie dziwne nie pasuje do wyglądu jego samochodu, który ma zbitą reflektor, wgnieciony błotnik, skrzywiony zderzak i urwaną klamkę, a w tylnym siedzeniu — nieco tłuczonego szkła.

Po niespokojnej nocy /w związku z pozbywaniem się banknotów/ przychodzi pogodny poranek i godzina odlotu. Przed załadowaniem bagażu do maszyny kładą go na wagę, a ja z niepokojem śledzę wskazówkę w miarę dodawania na szalę walizek, worków, kuferków, łóżka polowego, neseseru i teczek. Z przerażeniem widzę, że liczba funtów przekracza dwadzieście. Czekam na wyrok i rozmyślam, które czterdzieści funtów przyjdzie mi zostawić gdzieś pod hangarem. Tymczasem ważący wpisuje w rubryce mego bagażu liczbę: 160, każe pomocnikom zdjąć graty z wagi i kładą bagaż następnego pilota, poczem powtarza się ta sama scena. *Oh, I see!*

Ładujemy się do maszyny zaraz po bagażu. Naszym transportowcem jest królewski samolot "Anson". /Dlaczego królewski — wiedzą ci, co chodzą do kina na ostatni seans/. "Anson" nie jest ostatnim krzykiem techniki lotniczej, ale jest maszyną stateczną i bezpieczną, a co najważniejsze dla nas — z wielkimi oknami

wzdłuż kadłuba, dzięki czemu czujemy się, jak prawdziwi pasażerowie w prawdziwym, pasażerskim samolocie. Tylko jako fotele służą nam nasze własne worki i bambetle, z których zresztą można zbudować zupełnie wygodne legowisko.

Huczą motory /czy nie wyrażam się zupełnie, jak pasażer?/, nasz "Anson" rusza i osiągnąwszy szybkość około trzydziestu mil na godzinę, łagodnie odrywa się od ziemi, dzięki czemu wkrótce zyskuje dalsze dziesięć mil na godzinę.

Siedzę tyłem do pilota, ale mój towarzysz, patrząc w jego stronę, nagle zaczyna się śmiać historycznie; idę za jego wzrokiem i wybucham takimże śmiechem: pilot wraz z nawigatorem w pocie czoła kręca kołami, na które nawijają się sznurki od podwozia; schowanie podwozia trwa około kwadransa. Naturalnie, wysmakować cały

nie wyprowadzają na otwartą, zieloną przestrzeń z majestatyczną katedrą pośrodku. Salisbury, Winchester, Canterbury — przyjemnie po nich chodzić i przyjemnie nad nimi latać, ogarniając wzrokiem całą harmonijność starych katedr.

Ale nawet na "Ansonie" w końcu doleci się do morza. Przekraczamy brzeg, biorąc kurs na południo-wschód. Woda Kanału spokojna i pusta. Ani wspomnienia po mrowiu statków, które tu się kręciły, lub leżały obok siebie ciasno, jak dachówki, podczas pierwszych dni inwazji. Gdzieś na środku Kanału drzemie zakotwiczony stateczek ratowniczy, gdyby kto chciał przymusowo wodować między Anglią a Kontynentem.

Ale za to w powietrzu! — jak w ulu. Cały ruch powietrzny między dwoma lądami odbywa się, dla kontroli i bezpieczeństwa, w określonym pasie, szerokości kilku mil.

libru, a za nią lotniska niemieckich myśliwców. Na widok brzegu francuskiego odbezpieczało się działka i karabiny, włączało się celownik, świecący krwawym pierścieniem, rozpoczynało się myślową gimnastykę — "gumowej szyi": głowa w prawo, w górę, w lewo, w lusterko, w lewo, w górę, w prawo, w lusterko i tak w kółko.

Przy przekraczaniu brzegu słyszało się w słuchawkach nieodzwonione ostrzeżenie: "uwaga, artyleria grzeje", co było niewielką pociechą, bo widziało się tę artylerię aż za dobrze, a dowcip nie wiele mógł poradzić przeciw kurtynie rozrywających się pocisków, z lewej, z prawej, z dołu i z góry. Potem zaraz przychodziły komunikaty: "Messerschmidty" z tyłu, lub "Focke-Wulfy" przed nami i zaczynała się karuzela. Wracalo się zaś od tego brzegu "zaplatając" — *weaving* czyli wijąc się, jak

sterczą szkielety hangarów i baraków, a rzędy spalonych domów szczerzą ku niebu nagie kominy; ale tu bombardowanie było już ograniczone do punktów w terenie, nie cały teren był mu obiektem.

Trudno zauważyć, kiedy z nad Francji przeleciało się nad Belgię, bo granice między narodami istnieją na ziemi, a z góry ich się nie dostrzega. Nie można się jednak pomylić w rozpoznaniu Brucksi, choć oglądam ją pierwszy raz. — Zdecydowanie wielkie miasto, wielkie nie samym tylko obszarem, ale architekturą na miarę Paryża. Wspaniały, monumentalny Pałac Sprawiedliwości, z którego do niedawna sprawiedliwość wymierzało Gestapo! Przelatujemy nad miastem tak nisko, że można zauważyć wielkie sklepy, tramwaje, ruch na ulicach — normalne, gorączkowe życie miejskie.

Stąd jeszcze przed tygodniem dojeżdżało się tramwajem na lotnisko polskich myśliwców. Tutaj nasi skrzydlaci bohaterowie, powiesiwszy po służbie skrzydła na kołku, śpieszyli, aby — "spędzić czas i pieniądze", mówiąc z angielska. Wojna, jak podróże, kształci, bo nawet, jeśli skrzydlaty bohater ma na oku tylko "public house" /znów mówiąc z angielska, albo jak chcecie/ — to i tak musi przejść przez ulice pięknych gmachów, przez place pięknych pomników, musi zmieszać się z obcojęzycznym tłumem, starać się zrozumieć nieznaną ludźmi i być przez nich zrozumianym.

Ale front, wbrew zapewnieniom Władki, prezesa Klubu Pesymistów, posunął się do przodu i nasi myśliwcy odfrunęli do Holandii.

Mój "Anson" też już przeczołgał się nad granicą i teraz pod nami rozpościerają się Niderlandy. Rozczarowanie numer jeden: ani śladu pól tulipanowych, nawet grządki tulipanów nie dojrzyś. Rozczarowanie numer dwa: ani jednego wiatraka, tego wiecie, białego, okrągłego, z czerwonym dachem. Przepraszam, jest jeden, ale nie biały, tylko brudno-szary i bez skrzydeł. Ach, ta wojna!

Co jest naprawdę w obfitości, jak się tego należało spodziewać, to — woda. Kanały, kanaliki, rowy, zalewy, rozlewiska, a co gruntu zostało, to podmokłe.

Ale nawet "Ansonem" w końcu dolatuje się do celu podróży. Pilot robi okrażenie wokół czegoś, co zapewne ma być lotniskiem. Na pierwszy rzut oka widać tylko dziury po bombach i ruiny hangarów. Nie chce się wierzyć, że na tym terenie można wylądować. Ale przy podejściu okazuje się, że dwa pasy do lądowania mają dziury pięknie pocerowane ceglami, a trzeci właśnie podlega operacji lądowania. "Anson" zmniejsza szybkość /nie do wiary — zdawało się, że już nie można mieć mniejszej/, ładuje, kołuje, zatrzymuje się. Otwieramy drzwi i wyskakujemy na holenderską ziemię.

Transport zabiera bagaż wraz ze mną do messy. Kwatery są o kilka mil od lotniska. Jedziemy pomiędzy zagrodami, które wyglądają mi bardziej swojo, niż farmy angielskie. Dużo chat i stodoł krytych strzechą, a tam — czy to możliwe? — ależ tak, żóraw studzieniny! I zapach! Taka wiejska mieszkanka: świeża ziemia, dym jałowcowy, obora i sosnowy las. Dziwnie wrzuszający zapach.

Właśnie w tym lesie sosnowym są nasze kwatery: piękne, nowe, czyste budynki z cegły, budowane przed paru laty dla "Luftwaffe". Zajeżdżam przed messę, wysiadam i oto odbywa się scena biblijna: powrót syna marnotrawnego. Przed wejściem stoją, siedzą na stopniach, grzeją się w słońcu — oni, rodzina, czekająca na mój powrót. Rzucam się w ramiona, ścisłam ręce, ktoś mnie kopie, ktoś zyczliwie wykręca mi ramię, padają okrzyki i zapytania: — "Ty do nas na gaciowego?" — "Nie, na kontrolera?" — "Ty tutaj latać, czy pisać artykuły?"

Tylko wódz dywizjonu wie, że wita we mnie najmłodszego swego pilota, i mówi przyjaźnie: — "Czekamy, czekamy niecierpliwie, bo mamy duże straty, a spodziewamy się jeszcze większych". Od niego dowiaduję się o moim przydziale. Ach, cóż za dywizjon! Ale o tym potem. Teraz dajcie jeść, na miłość boską, jeść!

GUSTAW NIERAD



komizm tej sceny może tylko pilot samolotu nowoczesnego, w którym ta czynność odbywa się automatycznie, po szybkim przesunięciu dźwigni.

Przełot nad południową Anglią jest znacznie przyjemniejszy i ciekawszy, niż gdzieś nad Midlands. Nawigacja teoretycznie polega na locie loksodromą /pod stałym kursem/, lub ortodromą /po łuku wielkiego koła/. Praktycznie, myśliwice chętnie pomagają sobie torami kolejowymi i szosami. Ale w okęgach przemysłowych Anglii kłębówisko linii kolejowych i dróg uniemożliwia nawigację systemem latania toro-dromą i szoso-dromą. Co gorsza, te tory i szosy najczęściej są źle widoczne wskutek ohydnej mieszaniny dymu z mgłą — grubego kożucha, pod którym dyśzą wielkie miasta i ośrodki fabryczne. Dopiero na kilka tysięcy stóp nad ziemią, spojrzawszy poniżej, można sobie uprzytomnić, jakim gnojem oddycha dzisiejsza cywilizacja, jak zacządziałały mózgamy myśli dzisiejsza ludzkość.

Południowa Anglia ma mniej torów, więcej lasów i czystsze powietrze. Gdzieniedzie śliczne, stare miasteczka, nie zaduże, malownicze tak w widoku z samolotu, jak kiedy je zwiedzać błądząc wąskimi uliczkami, które niespodzia-

Roje samolotów wszelkiego kalibru, rozmaitego użytku i różnej szybkości gazuja na każdej wysokości w obu kierunkach. Wypredzają nas śmigle jak charty myśliwce: "Spitfire'y", "Tempesty", "Tajfuny", "Mustangi"; wypredzają nas wdzięczne, lekkie bombowce: "Moskity" i "Bostony"; wypredzają majestatycznie, ciężkie "Lancastery", "Halifaxy" i "Liberatory"; biorą nas nawet "Austery" i temu podobne taksówki powietrzne. Nasz "Anson" nie wypredza nikogo, z wyjątkiem drugiego "Ansona", któremu najwidoczniej nawala jeden silnik.

Ale to nic, będzie więcej czasu na obserwację Kontynentu. Właśnie zaczyna chmurzyć się na horyzoncie; najpierw wygląda jak chmura deszczowa, szara i bezkształtna, potem, jak chmura burzowa, granatowa, o wyraźnych konturach, póki nie uwidoczni się żółty rąbek plaży, dzielący sinosć morza od siności lądu.

Ileż przyjemności i satysfakcji w zestawieniu wrażeń na widok Kontynentu dziś — z tym, co czuło się, dolatując do niego przed paru laty! Ujmując to z angielska w *understatement*: wtedy czuło się *n i e s w o j o*.

Całe wybrzeże — to była artyleria nieprzyjacielska różnego ka-

piskor, byle tylko własny ogon mieć na oku, bo lusterku nie zawsze można zaufać.

Dzisiaj przekraczam Kanał tak, jakbym przelatował nad ujściem Tamizy z Kent do Essex. Patrząc na Cap Gris Nez, i uśmiecham się do wspomnienia spotniałej trwogi, jaką tutaj przeżyłem przed kilku laty, kiedy mi silnik przerwał na kilkanaście sekund.

Lecimy nisko, na tysiąc stóp — nigdy na lotach operacyjnych nie było okazji przyrzeć się brzegowi tak nisko i tak dokładnie. Teraz dopiero mogę oglądać skutki kilkuletniego bombardowania niemieckich obiektów na wybrzeżu. Jest to widok nie do zapomnienia i prawie nie do zniesienia: całe wybrzeże na milę, lub dalej w głąb — to potworna ospa natury. Nie więcej, tylko doły po bombach, jak ohydne wrzody, wypełnione zieloną materią, większe i mniejsze, bez przerwy, jeden obok drugiego, bez skrawka zdrowej ziemi, bez śladu żywej rośliny — olbrzymi trup przyrody, częścią spopielały, częścią rozkładający się, okaleczony, niekształtny, sponiewierany.

Łżej oddychać, kiedy minie się wreszcie to cmentarzysko natury i ukażą się zdrowe lasy sosnowe, pola zielone ozimina, wsie i miasteczka. Naturalnie i tutaj często

A P E L

Obywatele Rzeczypospolitej!

Na terenie Niemiec przebywa dzisiaj ponad milion a może nawet dwa miliony naszych współrodaków, uwolnionych z niemieckiej niewoli.

Nie trzeba tu mówić o tym, co przeszli nasi bracia w niewoli, za drutami obozów koncentracyjnych, na robotach przymusowych — głodem, biciem i torturami zmuszani do niewolniczej pracy na rzecz "Narodu Panów".

"Naród panów" już nie istnieje. Pozostali jednak ofiary jego panowania. Nie czas dziś na wiecie, zebrania i przemówienia. Polacy w Niemczech potrzebują pomocy.

Wojna sprzymierzone przyniosły im wolność — my musimy wrócić im siły i zdrowie.

Natychmiast.

Musimy zmobilizować wszystkie siły, aby przyjąć im z jak najbrzdziej wydatną pomocą. Każdy Polak w Wielkiej Brytanii musi wziąć udział w tej akcji.

Musimy wystać do Niemiec jak największą ilość paczek dla uwolnionych z niewoli niemieckiej naszych współobywateli: mężczyzn, kobiet i dzieci. Mydło, lekarstwa, ubranie, obuwie, swetry, płaszcze i książki stanowią najpilniejsze potrzeby.

Wzywamy wszystkich do natychmiastowej akcji.

Nie możemy dzisiaj przyjąć z pomocą naszym bliskim w Kraju, pomóżmy więc tym, do których możemy dotrzeć. Kto ma dwa ubrania, niech odda jedno Polakowi w Niemczech!

Ofiary pieniężne należy wpłacać do Polskiego Czerwonego Krzyża na Fundusz Pomocy dla Polaków w Niemczech /34, Belgrave Square, London, S.W.1/ dary w naturze /ubrania, zwłaszcza ciepłe rzeczy, bielizna, obuwie, mydło/ kierować do składnic Polskiego Czerwonego Krzyża /London, 34, Belgrave Square, S.W.1/; książki czasopisma i t.p. do Światowego Związku Polaków z Zagranicy /38, Wiltor Crescent, Londyn, S.W.1/.

Spółeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech, powołany do życia w dniu 3 maja 1945 r. przez przedstawicieli organizacji społecznych w Wielkiej Brytanii.

Bierzemy odwet za Wrzesień

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Pochód wojny przez Niemcy

Niemcy, 24.IV.1945

Noc jest jasna, bo księżyc rozpiął nad nami srebrno-niebieskie baldachim i jak okiem sięgnąć, bliżej i dalej, biją luny pożarów. Płonące domy i zabudowania farm kwitną wokół, jakby kto hojnie porozrzucił bukiety płomienistych, egzotycznych kwiatów. Dymy idą leniwie ziemią nie poganiane wiatrem i wdzierają się do wnętrza wozu, drażniąc oczy.

Jedziemy z odprawy w 10 Brygadzie Pancerniej, by dołączyć do pułku Białych Ułanów, którzy mają dziś ruszyć na Papenburg. Eskortuje nas potężny czołg. Sunąc za nami, wydaje się w dymach i świetle księżyca jakby jeszcze większy. Gwar motoru naszego wozu tłumi chrzęst żelaza jego gąsienic i ryk silnika. Jedziemy *no mans land'em*, bo chociaż na tym kierunku już przeszły nasze czołgi, po polach i dalekich od drogi osiedlach pozostały jeszcze grupy Niemców, którzy biją się tutaj zaciekle. Powiedziano im, że wojska sojuszników zostały odparte na Linii Zygfryda i że sprzymierzeńcy przez północne Niemcy chcą się wdrzeć w głąb Rzeszy; powiedziano im, że od nich zależy teraz los całych Niemiec, więc walczą do ostatniego.

Pułk Białych Ułanów rozlokował się o trzy kilometry od Papenburga w opuszczonej przez Niemców wiosce. W jednym tylko domu pozostali mieszkańcy Holendrzy. Można by skorzystać z wygodnych łóżek niemieckich, gdyby nie to, że wkrótce ruszymy dalej. Według planu operacyjnego dwa szwadrony pułku i kompania piechoty z Batalionu Strzelców Flandryjskich mają o świcie uchwycić jedyny wyjazd przez kanały do Papenburga idący od południa. Trzeci szwadron już teraz zbliża się do miasta od wschodu. Wysłał poza tym szwadron lekkich czołgów rozpoznawczych, który ma za zadanie zbadać mosty i przejścia. My czekamy na piechotę, która niedługo ma do nas dołączyć.

W opancerzonym wozie półgąsienicowym pułkownik, dowódca Białych Ułanów, ustala ze swoimi oficerami szczegóły przyszłej operacji. Przyjmuje nadchodzące wciąż radiowo meldunki i wydaje zlecenia. W krótkim, lotniczym półkołozusku i w wysoko sznurowanych butach z odkrytą głową wygląda raczej na właści-

ciela folwarku, obmyślającego plan zasiewów, niż na zawodowego żołnierza. Zanim powzięcie decyzję zastanawia się nieraz dłużej i wreszcie wydaje rozkaz: — "Na mój rozum, jacyś to zrobił tak..." Od tych decyzji zależy nieraz wiele, bo życie żołnierzy.

Nadchodzi meldunek od porucznika Dz. dowódcy szwadronu rozpoznawczego: "Przeszedłem przez wał między kanałami, przez most na drugim kanale i jestem w mieście. Dotychczas brak kontaktu z nieprzyjacielem. Uchwycyliśmy most jest według zeznań Francuza, zbiegłego z niewoli niemieckiej, zaminowany. Musiałem jednak zaryzykować, chcąc uchwycić to jedyne przejście do miasta".

— "No to tak, jakbyśmy już byli w Papenburgu" — cieszy się pułkownik — "Trzeba tam posłać zaraz nasze 'mrówki', żeby zobaczyły co tam z tym mostem i w razie czego pousuwały miny".

Znowu meldunek. Tym razem o jeńcach. Jest ich trzech. Są to przeszło pięćdziesięcioletni mężczyźni, zmęczeni wojną i powiedzieliby wszystko, gdyby co sami wiedzieli. Zostali przysłani na ten odcinek frontu zaledwie przed kilkoma dniami.

Zanim nadeszła piechota, zaczęło świtać. Po bezsennej nocy szklanka gorącej herbaty, zgotowanej na kuchence czołgowej i jajecznicza z jajek bezpańskich kur smakowała jak najwymyślniejszy specjał. Znowu sprowadzono jeńców z Papenburga. Było ich pięciu — czterech młodych chłopców i prawie sześćdziesięcioletni mężczyzna. Ten ostatni, robotnik portowy w Emden, został zmobilizowany zaledwie cztery dni temu i wysłany z punktu na front. Za każdą odpowiedź podczas badania kłaniał się, zdejmując po cywilnemu furazerkę. To że został jeńcem widocznie go cieszyło — raz nareszcie pozbył się kłopotów wojny.

Dowiaduje się, że nasi saperzy — "mrówki" wykryli pod mostem, przez który przeszedł w nocy por. Dz. ze swym szwadronem lekkich czołgów, cztery bomby lotnicze. Druty od zapłonu prowadziły do domu po przeciwniejszej stronie kanału, ale saperzy niemieccy zasko-

czeni śmiałą decyzją dowódcy czołgów rozpoznawczych pewnie uciekli, zanim zdolali most wysadzić. Gorzej było gdyby przez most starali się przejść "Shermany". Bomby były ustawione zapalnikami do góry i ciężkie czołgi mogły spowodować wybuch.

Ruszamy długą kolumną czołgów i *scout-car'ów*. Do miasta docieramy bez wydarzeń. Kolumna zatrzymuje się dopiero w środku miasta. Na przodzie słyszę terkot karabinów maszynowych. Piechota, która oblepiła czołgi od zewnątrz, zeskakuje z nich i rusza między domy. Powracają nie sami — prowadzą jeńców. Są to pierwszy w tej akcji spadochroniarze wzięci do niewoli.

Piechota zlikwidowała resztki pozostałych w mieście Niemców. Ruszamy naprzód. Za następnym kanałem skręcamy na wschód. Po drugiej stronie wody płoną domy. Z zabudowań wybiegają ludzie niosąc w pole dobytek. Mała dziewczynka, na widok czołgów podnosi ręce do góry. Od kilku dni widzimy niezmiennie to powitanie. Lęk, groza zniszczenia i pożogi idą przez Niemcy tak, jak ongiś, we wrześniu 1939 roku przewalili się przez Polskę. Za nami rozlegają się wybuchy pocisków — to Niemcy ostrzeliwują własne miasto z artylerii.

Czołgi naszej kolumny walczą z białym niebrukowanej drogi. Jeden z nich ugrzązł na dobre i trzeba posłać po "*recovera*", czołg ratunkowy. Nie można go ominąć na wąskiej drodze i to hamuje nasz marsz naprzód.

Za miastem znowu obieramy kierunek północny. Boczna droga obiadła po obu stronach domy farm. Mieszkańcy uciekli w pole. Piechota myszkuje po ogrodach i zabudowaniach szukając Niemców. Z jakiegoś domu wyprowadzają czterech żołnierzy. Jeden z nich rozebrany do bielizny. Chcieli się przebrać po cywilnemu i w ten sposób ująć niewoli. Odsyła się ich na tyły.

Wystrzelił dział czołgów idących na czele kolumny i bociani klekot karabinów maszynowych stale nam towarzyszą. Rotmistrz Prz. natknął się na całą kompanię spadochroniarzy, okopanych wzdłuż

drogi naszego marszu. Ustrzelili czołg, ale pod ogniem naszych dział i broni maszynowej dwóch najbliższych drogi wystawiło z okopu białą chustkę. Zaprzestano ognia i dwóch naszych poszło ich zabrać. Niemcy z dalszych okopów sypnęli serią erkaemu raniąc jednego z Polaków. To przebrało miarę — nie tylko piechota, ale załogi czołgów skoczyły w pole. Z całej kompanii Niemców niewiele ocalało.

Piechota, która idzie przed czołgami nadsyła coraz nowe partie jeńców. Trudno policzyć, bo jest już ich chyba około dwustu. Biegają czwórkami wzdłuż drogi popędzani przez naszych piechurów, brudnych od kurzu, ale wesoło uśmiechniętych, rozradowanych powodzeniem. Jeden ze strzelców wyborowych sam wziął szesnastu Niemców.

Przed wieczorem docieramy do pierwszych domów małej wioski. Zostaniemy tu na noc. W chacie w której po porozrzucanych po podłodze siennikach widać, że poprzedniej nocy spali Niemcy, rozlokowuje się dowództwo pułku. Na stole widzę imbryk i sześć czy siedem niedopitych filiżanek herbaty. Dotykam ręką porcelany: herbata jeszcze ciepła, więc Niemcy opuścili dom może przed kilkunastu zaledwie minutami. W kuchence pali się ogień, a na wieszaku pozostawili furazerkę.

Dowiadujemy się o pozycji dwóch 75-tek, kilku dział 20 mm. i rozmieszczeniu piechoty. Pułkownik dowódca wzywa łącznikowego artylerzystę: — "Trzeba będzie obłożyć ten kwadrat z artylerii" — wskazuje.

Wydano już wszystkie konieczne zarządzenia i czas na kilka godzin snu. Z majorem L. dowódcą Strzelców Flandryjskich współpracujących z czołgami dzielimy szerokie łóżko. Nie zdejmujemy nawet butów — kto wie, co się może stać w ciągu nocy. Około trzeciej nadchodzi wiadomość radiowa z Brygady. Budzą pułkownika. W północy słyszę jak naradza się z jednym ze swoich oficerów i wydaje nowe zlecenia.

Budzą nas o piątej. Dopiero wstaje dzień. Jemy na prędce przygotowane śniadanie, ruszamy do wozów. Znowu pochód dalej ku

północy. Znowu strzelanina i jeńcy. Znowu dymy pożarów. Pochód wojny.

Na osi naszego marszu spotykamy czołgi pierwszego pułku pancernego. Szli tak jak my, ku północy, ale inną drogą. Oni ruszają dalej w tym samym kierunku a my skręcamy na Killinghorst, na wschód. Na prostej jak strzała szosie wiodącej od tego miasteczka zatrzymujemy się, by ostrzelać przedzielone od nas szerokim polem osiedle, w którym miała się znajdować jedna z kompanii spadochroniarzy. Czołgi obróciły lufy dział w kierunku domów odległych o kilkaset metrów i rozpoczęły kanonadę. *Scout-car'y* wtórowały im z *Brenn'ów* siejąc złote iskierki pocisków fosforowych po dachach. Za każdym wystrzałem działa czołgu jeden z domów okrywał się czerwonym dymem kurzawy starożytnych w proch cegieł. Wzdłuż całego szpaleru domów osiedla rozsnuły się kłęby dymów. Płomienie ogarniały coraz nowe domy i zabudowania. Ruszamy dalej.

Piechota, która poszła przed nami uchwyciła pierwsze domy Killinghorst. Za Strzelcami Flandryjskimi docierają czołgi. Kolumna się zatrzymuje. Wskazuje z wozu i idę na czoło.

Dwie 75-ki uchwyciły na stanowiskach, zanim zdążyły oddać pierwsze strzały. Zdobyto dwa działka przeciwlotnicze. W rowie przydrożnym aż niebiesko od mundurów jeńców. Jest ich kilkudziesięciu. Kilku rannych zabiera "*jeep*" sanitarny. Wewnątrz miasteczka słychać odgłosy walki. Meldują pułkownikowi, że zniszczono trzy działka przeciwpancerne, Niemcy byli tu przygotowywani na stawianie silnego oporu.

Nadjeżdża *scout-car* łącznikowego z dowództwem Brygady. Mam z nim wracać, by móc nadać depeche z Obozu Prasowego o działaniach Dywizji.

Patrzę na odjeżdżym na płonący Killinghorst, patrzę na jeńców i zdobyte działa. W perspektywie ulicy z kłębu dymów wyszło trzech Niemców. Jeden z nich idący na przodzie, niesie przyczepione na długim drągu prześcieradło. Któryś z żołnierzy uśmiecha się do mnie szeroko:

— "*Deutschland, Deutschland über alles. Co?*"

BOLESŁAW K. PIEKARSKI

Ogniste luny domów płonących po przeciwnej stronie kanału rozświetlały horyzont, gdy wśród zapadającej nocy, we czwartek wieczorem posuwaliśmy się naszym wozem radiowym przez miasteczko holenderskie Vlagtwedde, by dołączyć do dowództwa batalionu belgijskich spadochroniarzy, którym przydzielono do naszej dywizji.

"Czerwone diabły" zdobyły właśnie parusetmetrowy przyczółek po północnej stronie kanału, ale wysadzony most uniemożliwiał chwilowo przerzucenie wozów na drugą stronę. W bezpośrednim pobliżu kanału kwaterowało dowództwo batalionu. Wódz "Czerwonych diabłów" major układał właśnie raport sytuacyjny dla naszej brygady przy świetle świec. Do sąsiedniego pokoju przenoszono na noszach dwu rannych Niemców.

Spadochroniarskie oddziały szturmowe zdobyły przyczółek przy minimalnych stratach własnych, biorąc do niewoli 60 Niemców. Nieprzyjacieli pozostał także sześciu zabitych na polu walki.

Całą noc trwa budowa mostu. Nazajutrz rano jaki taki most stoi i *jeep'y* spadochroniarzy zaczynają przekraczać kanał. *Jeep'y* spadochroniarzy to prawdziwe wozy bojowe, wyposażone w trzy c.k.m'y, z opancerzonymi szybami przednimi. Kule karabinów maszynowych zaledwie mogą zadrasnąć do pancerne szkło — dopiero działko 20 mm. może dać mu rade.

Jedynie trzydzieści kilka kilometrów dzieli nas od morza. "Marsz do morza" stał się hasłem oddziałów alianckich, walczących w północnej Holandii. Dojść do wybrzeża i ostatecznie przeciąć nieprzyjacielowi wszelką możliwą

Hallo Zygmunt—osiągnąłem morze!

drogę ucieczki do północnych okolic Reichu, gdzie trwa jeszcze fanatyczny opór wojsk Hitlera.

Przez piątek i sobotę posuwaliśmy się naprzód główną drogą na Winschoten, jedyne miasto w powodzi osad i miasteczek pomiędzy Groningen a granicą niemiecką, w północno-wschodnim rejonie Holandii. Po bokach były jeszcze większe zgromadzenia wroga, którymi zajmowały się polskie czołgi i c.k.m'y. Co chwila ludność cywilna donosiła nam, że o parę kilometrów w prawo czy lewo od naszej szosy są Niemcy. Ilość ich podawano zawsze okrągłą, zadziwiający cyfrą 200, 400, czy 500. Cywile wyrażali nam szczerze zadowolenie z oswobodzenia, rozsądnie jednak wstrzymywali się z wywieszaniem flag aż do przybycia większych sił, wiedząc o bliskiej obecności Niemców.

Batalion spadochroniarzy często zmieniał miejsce postoju, lekkie wozy z łatwością przekraczały prowizoryczne mosty, natomiast kuchnia na trzytynówce nie zawsze mogła dołączyć. Trzeba więc było często improvisować posiłki z konserw, a niekiedy korzystać z gościnności Holendrów. Na szczęście była to przeważnie wieś i ludzie, którzy nie zasnali głodu. W przeciwieństwie do miast środkowej i północnej Holandii, gdzie panuje dotkliwy brak żywności, więc je wprawdzie znacznie skromniej niż przed wojną, ale jeszcze zupełnie nieźle.

Dywizja nasza czyniła bardzo szybkie postępy w Holandii wbrew dziesiątkom zerwanych mostów. Gdyby nie te mosty, postępy byłyby chyba błyskawiczne. Jakże napracowali się saperzy i ile kło-

potu było z tymi mostami! N.p. spadochroniarze naprzód klecili improwizowany mostek dla *jeep'ów* i lekkich wozów, potem wznosili go fachowo dla wozów trzynastych, wreszcie przychodzili polscy saperzy i — budowali nowy solidny most dla czołgów. Ludność cywilna chętnie pomagała przy tych budowach i przebudowach.

Niemcy w sobotę bronili ostro ostatniego mostu przed Winschoten, o 2 km. od miasta. Umocnione pozycje wroga trzeba było zniszczyć "Typhoon'ami". Nadleciały około godz. 7-ej wieczór, przez chwilę kłóżyły nad naszymi pozycjami, wreszcie zaczęły kolejno w regularnych odstępach nurkować nad stanowiskami nieprzyjaciela: rozległ się huk pocisków raketowych.

"Typhoon'y", ta najgroźniejsza broń aliancka przeciw Niemcom, okazały się tym razem również jak najbardziej skuteczne. Gdy następnego ranka pierwsze nasze pojazdy stanęły przed mostem, most okazał się wbrew przewidywaniom wszelkim niezniszczony, droga do miasta była zupełnie wolna. Samo miasto zostało w nocy także opuszczone przez Niemców. Polski oficer łącznikowy z Brygady wysunął się swym *scout-car'em* na czoło, by osobiście zbadać sytuację. Niebawem na sieci brygadowej rozległ się meldunek ze stacji radiowej *scout-car'a*: "...Hallo Zygmunt 24 — jestem w środku miasta".

Polski oficer łącznikowy był więc pierwszym, który wjechał na rynek Winschoten — w minutę potem wleciały *jeep'y* spadochroniarzy z jednej strony, podczas gdy

Batalion Podhalański zajmował miasto z drugiej. Niebawem wjechała do miasta i nasza radiówka z dowództwa batalionu.

Entuzjazm był tu niesłychany. W Winschoten porzucono wszelkie względy rozsadku czy ostrożności na bok, całe miasto odrazu zaszumiło flagami. Ludzie wrzeszczeli, otaczali wozy, chwytali ręce żołnierzy. Spotkaliśmy tu i kilku Polaków z obozu pod Emden, który się "rozleciał". Polka ze Stanisławowa, młody chłopak z Poznania i paru innych współziomków skupiło się wokół naszego wozu, dziesiątki Holendrów wraz z nimi.

Z rynku zjechaliśmy do parku, koło domu miejscowego "quislinga", który zdążył jeszcze gdzieś zwiąć z Niemcami — na parę dni zapewne, najwyżej na kilka tygodni. Przed domem, w którym stało dowództwo, rewidowano grupę jeńców niemieckich, wziętych przed chwilą pod miastem. Tłumy ludności przypatrywały się swym tak niedawnym ciemniaczom w tej nowej upokarzającej roli z żywiołową satysfakcją. Złorzeczono im i wygrażano. Żołnierze i policjanci musieli nawet odpychać coraz bardziej tłoczącą się ludność.

Tymczasem na brygadowej sieci radio, zazwyczaj i tak bardzo ożywionej, panował coraz większy ruch. Mnożyły się meldunki o pracujących naprzód, ku morzu, oddziałów. Nasza stacja nie próżnowała również. Z dowództwa "Czerwonych Diabłów" dawano nam co pewien czas dokładne meldunki sytuacyjne dla Brygady. Natomiast polski oficer łącznikowy posuwał się w przedzie z prowadzą-

cymi *jeep'ami* spadochroniarzy i raz po raz szły w eter krótkie wiadomości "Zygmunta 24" z pierwszej linii.

Po początkowych szybkich postępach przywiłał nasze czołowe elementy ogień niemieckiej baterii 88 mm. i ciężkich moździerzy. Zmusiło to ich do zatrzymania. Ogień groźny nawet dla czołgów, musiał być bardzo nieprzyjemny dla bądź co bądź otwartych *jeep'ów*. Jednak po pewnym czasie spadochroniarze wraz z Zygmunt posuwali się dalej, aż do Finsterwalde, wioski położonej o 5 — 6 km. od morza. Jednocześnie z Brygady posłano sześć polskich czołgów na wsparcie.

Nagle rozlega się w eterze "sensacyjny" meldunek: Zygmunt 24 donosi, że bierze kilka *jeep'ów* pod swoją komendę i pędzi prosto na morze. Dowódca polskich czołgów, który już przybył do Winschoten radzi mu przez radio, by zaczekał na czołgi i nie narażał się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Na to Zygmunt odpowiada, że już wyruszył, że się nie zatrzyma, że musi być przed zmierzchem u celu.

Przechodzą długie minuty oczekiwania, nagle rozlega się błyskawiczny meldunek: "Hallo Zygmunt 24 — osiągnąłem morze". Godzina dokładnie jest 18.55. W chwilę potem nadajemy z naszej stacji gratulacje od dowódcy spadochroniarzy dla Zygmunta.

W ten sposób polski oficer łącznikowy na czele patrolu belgijskich spadochroniarzy był pierwszym, który osiągnął morze u północnych wybrzeży Holandii w pobliżu granicy niemieckiej. Droga do "Reichu" została okrążonym oddziałom niemieckim całkowicie zamknięta.

HENRYK TYSZYŃSKI

Nasi mali przyjaciele

Gaz, syn Gaza i Aza



Nazwano ją Gazem. Dopytywałem się długo dlaczego przedstawicielce psiej płci pięknej dano wybitnie męskie imię, lecz sporo upłynęło czasu, nim dotarłem do źródła. Doszedłszy prawdy, rozpocząłem kampanię, zmierzającą do zmiany imienia, lecz tu, tak jak z władzami administracji jeśli chodziło o zmianę nazwiska — nie mogłem nic wskórać. Nie powiem, by żądano rodowodów czy certyfikatu czystości rasy. O rasie w ogóle nie mogło być mowy. W przewidywaniu wielkich wydarzeń politycznych unikaliśmy rozmów na tematy rasowe i nawet o kobietach nie mówiło się, że jest

“rasowa”.

Imię jej jednak, jak się okazało, było wynikiem tradycji zrodzonej z przypadku, a utrwalonej niechęcią lub zgola lenistwem wyrugowania nawyku językowego, który z kolei przeszedł w nawyk myślowy. Ktoś szedł “dać w gaz” i znalazł małe szczenię, a że był “zwierzęciem towarzyskim”, zabrał je z sobą i wychował na towarzyszkę, która mu wierna była aż do śmierci, co poniekąd zadaje kłam twierdzeniom, jakoby wszystko to, co wywodzi się z Anglii, lub ma jakikolwiek z nią związek, nacechowane było niewiernością. Tegoż wieczoru w barze w New Castle

nad Tyne’ą obchodzono chrzciny Gazy z zachowaniem tradycji polskiej, choć monopolka była szkocka.

Gaz znalazła się na “Dragonie”, a że było to w okresie remontu okrętu i wszędzie było obrzydliwie zimno, upodobała sobie pomieszczenie palaczy i wybrała je jako stałą kwaterę. Mądre to było psisko. Nie dlatego, że cały czas przebywało z maszynistami; nie dlatego też, że artyleria miała niewielki wpływ na nią.

Gaz miała duszę; Gaz urodziła się z duszą. Rozróżniała stopnie, lecz nie powiem, by respektowała je w stosunku wprost proporcjonalnym. A może i tak. Komandorom kiwała tylko raz ogonem, młodszym oficerom — dwa razy, podoficerom podawała łapę, czasami obie, a marynarzom...? Obejmowała ich za szyję, lizła, całowała, wślizgała na ramiona i w ogóle oddawała całe psie serce.

Zespoliła się z nami i z okrętem do tego stopnia, że stanowiła częścią załogi, gdy w alarmie tralowym zębami pomagała marynarzom ciągnąć linę trawu. Trudno było sobie wyobrazić “Dragon” bez Gazy, a Gazy bez “Dragonu”. Coś w niej było z nas samych. Przychodziła, kładła swój pocziwy łeb na kolanach i patrzyła w oczy z takim oddaniem, z taką miłością i gotowością poświęcenia się, z jaką tylko kochająca kobieta patrzeć umie.

Bo było w niej coś z kobiety. Lubiała pieniądze. Miała tylko bezsprzecznie więcej uczciwości, bo je oddawała. Szybko nauczyła się aportować rzucane przedmioty. Używaliśmy monet pensowych, gdyż najchętniej bawiła się nimi. Chwytała je w powietrzu, łapała toczące się po pokładzie, wyszukiwała schowane w szparach i szczelinach, a nawet z kieszeni potrafi-

ła je wydostawać. Tak jak kobieta. Gdyby tylko umiała grać w “żyda” albo w pokera!

Śmiechu mieliśmy wiele, gdy borykała się na pokładzie z trzewikiem, do którego ktoś przed tym włożył pena. Nieraz polykała je /peny, nie trzewiki/, przez pomylkę, a nawet świadomie, gdy ktoś, kto nie był właścicielem pena, starał się jej go zabrać. Wyrażenie pokerzystów: “wyżygasz, jak Gaz pena” — jest pełne treści dla bylej załogi “Dragonu”.

Przypatrywaliśmy się nieraz, gdy Gaz czatowała na rzucanego jej pena. Zdawało się nam, że to bramkarz czeka na “karny strzał”. Cała skupiona i zebrana w sobie, z łapami podanymi do przodu, z nastawionymi uszami czekała na moment rzutu. I te oczy... Takich oczu nie widziałem u żadnego psa. Promieniowały tak wielką inteligencją i rozumem, że po prostu czekaliśmy na moment, w którym zacznie do nas mówić ludzkim językiem.

W czasie inwazji Francji w czerwcu przeszłego roku Gaz doczekała się potomstwa. Nastrój rodzinny, radosna wizja chrzciny z nadziejami wycyganienia jednej lub dwóch butelek dżinu, by tradycji stało się zadość, przerywane były salwami niemieckich pocisków, wybuchami bomb lotniczych lub ogniem własnej artylerii ostrzeliwującej niemieckie zgrupowania pod Caen. Młode pokolenie liczyło zaledwie dziewięć dni, gdy przyszedł cios.

Pewnego ranka przed wschodem słońca nieprzyjaciół dosięgł nas spód wody swoją bronią. Pomieszczenie palaczy, ludzie tam znajdujący się, łóżka — wszystko to zamieniło się w jedno rumowisko. Tam właśnie przebywała Gaz z dziećmi. Znalezione potem na jakimś przewodzie paro-

wym skulone, obezwładnione stworzonko wielkości kłębuszka, skomlące z głodu i zimna.

Z “Dragonu” pozostał wrak, a Gaz...? Z całej rodziny — tylko jeden mały, jeszcze ślepy piesek, z uszkodzonymi tylnymi nóżkami. Reszta zginęła tego ranka. Gaz była marynarzem i zginęła wraz z okrętem.

Lecz z “Dragonu” wyłonił się “Conrad”. Po Gazie-macie, został Gaz-syn, a że zrodzony na okręcie i w czasie walki, stał się członkiem załogi “Conrada”. Ludzie i okręty giną, ale tradycja jest nieśmiertelna.

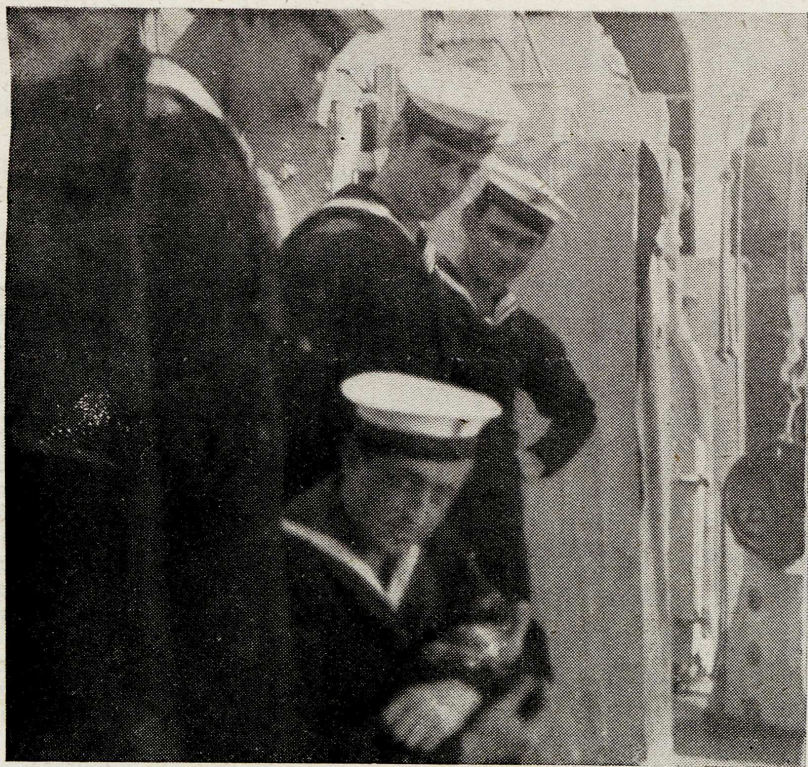
Pod opieką prowiantowego, który go karmił i pielęgnował, wyrósł Gaz na potężne psisko, podobne do matki z wyglądu, a do ojca z inteligencji. Powolny i nieokrzęsany, można powiedzieć tuman, lecz z pewnym zasobem psiego sprytu i swoistej zaradności. Ślepo przywiązany do okrętu i przyjaźnie usposobiony nawet do kotów. Łapę podaje gdy musi, za penami wcale nie biega, może za półkornówką, ale tylko w takich portach jak Portsmouth lub Glasgow. W Scapa — jedynie złota gwineja ruszyłaby go z miejsca. Żarłok przy tym ogromny i niewybredny. Skarpetki, szelki, kołnierzyki, nawet karty do gry, zjada z taką samą chciwością, jak *spam* lub surowe kartofle. Na “chipsy” jednak patrzy z wyraźną pogardą.

Postanowiliśmy go ożenić. Może towarzyszka wywrze na niego zbawienny wpływ. No, i dostał się już pod kuratelę czarnej i kaśliwej suczki. Małe to, a pyskate, aż strach. Chciałem nazwać ją Wrenką, lecz inni przekrzykali mnie i nazwali Azą. Ano, trudno!

Gaz, syn Gazy i Aza — zapowiedź pierwsza.

STANISŁAW SIKORSKI

“Arabska kura”



Drogi czytelniku,

Jeśli kiedykolwiek noga Twoja wstąpi na pokład okrętu lub statku, sam możesz ocenić czy załoga jego należy do złych czy dobrych. Rozglądnij się czy nie zobaczysz jakiegoś czworonożnego lub upierzonego przyjaciela. Gdy zobaczysz jakieś zwierzątko, możesz być pewien, że masz do czynienia z dobrą załogą.

Marynarz, prawdziwy marynarz kocha zwierzęta, gdyż one uprzyjemniają mu niejedną chwilę samotności na szerokich wodach świata. Sprawiają to, że nie zapomina śmiechu pomimo nadludzkich nieraz zapasów z żywołem.

Chciałbym się podzielić z czytelnikiem historią pewnej kury na naszym okręcie, historią bardzo komiczną. Datuje się ona z kampanii śródziemnomorskiej na O.R.P. “Ślązak”. Pewnego słonecznego poranka zawinęliśmy do Port-Saïd, leżącego na północnym wejściu do kanału Sueskiego. Port

to znany dobrze nam Polakom chociażby z powieści Sienkiewicza “W pustyni i puszcy”, jak i z przymusowej turystyki powroźniowej. Załoga po blisko dwutygodniowym pobycie na morzu, wybrała się na ląd, dla t.zw. wprostowania kości i użycia “ludzkich przyjemności”. Pogoda świetna, niebo lazurowe, zapach palm i lekki wietrzyk z morza aż zapraszały do wyjścia na ląd.

Wśród wychodzących na ląd, znalazł się i nasz pocziwy chorąży Ch. pamiętający wojnę polsko-bolszewicką, którą przeżył jako kawalerzysta. Jako prawdziwy kawalerzysta zachował i na okręcie pewną słabość do zwierząt. Poczujący matkę ziemię pod nogami, żwawym krokiem skierował się w stronę miasta, nagabywany od czasu do czasu przez dzieci arabskie o “bakszys”. Trudno się odciąć od tych uprzykrzonych bachorów.

Słońce niemiłosiernie przygrze-

wało. Znudzony, skierował swoje kroki do przybytku bachusa, by ugasić pragnienie. Wiadomo, że “po kieliszku pierwszym jest ci lepiej, po kieliszku drugim humor masz”. I nasz chorąży po kilku kieliszkach nabrał humoru i chęci do zwiedzenia bazarów arabskich. Będąc starym wyjadaczem, który z niejednego pieca chleb jadł, miał się na baczności przed wszelkimi szulerami w jakich to miasto obfituje. Lecz baczność ta znikła, gdy dostał się w sferę wysprzedaży zwierząt domowych i drobiu.

Zapach panował tam okropny nawet jak na stosunki wschodnie, lecz alkohol to taka wspaniała rzecz, że pozwala zapomnieć o niejednych przykrościach. Nasz bohater powoli przesunął się przez rozkrzyczany tłum, badając okiem znawcy miejscowe eksponaty. Tu kozy, tam barany, jeszcze indziej kaczki i kury. Serce miękło mu na widok tyłu przyjaciół ludzkich i wizja dalekiej przeszłości przesunęła mu się przed oczami: dom, rodzina i to, na co pracował całe swe życie, a już całkowicie zmieknął jak wosk nad świecą, gdy dostał się do dużej klatki, której wartość stanowiły ptaki. Przystanął, zamyślił się głęboko i w myśli przesunął mu się obraz dawnej przeszłości, obraz ostatniego nalotu na konwój: piekielny ogień przeciwlotniczy i ucieczka dwojga gołębi, których nerwy nie wytrzymały.

W sercu powstała decyzja posiadania. Przecież śpiew ptasi w kabinie to przyjemność nielada, tym bardziej śpiew kanarka. Tak, kanarka musi mieć. Przybliżył się do klatki, ptaszęta dwoiły i troiły mu się w oczach, ale to nic, nareszcie wybrał godny żółty okaz i wytargował wraz z klatką od Araba. Zadowolony z dokonanej transakcji z pierwszą wypiętą wprzód i kołysliwym krokiem wracał na okręt. Jakież było zdumienie jego i wstyd, gdy koledzy jego stwierdzili, że kanarek ten jest zwykłym kurczakiem i on po bliższym przyjrzeniu musiał im przyznać rację.

Fakt był faktem i niczego zmienić już nie można było, gdyż odkotwiczaliśmy na drugi dzień. We-

solość zapanowała na okręcie. Robiono już różne zakupy: zamiast brylantyny kupowano lakier do paznokci, od którego włosy twarząły jak skorupa i dopiero terpentyna wybawiała miłośników kosmetyki z kłopotu, albo też kupowano kit kolorowy zamiast sera, ale tego jeszcze nie było, by miast kanarka kupić kurę. Jednak znalazł się chętny do opiekowania się pisklęciem w osobie starszego marynarza Sz., który, mając żonę w Wielkiej Brytanii, wychowaniem kurczęcia chciał wykazać swoją wierność małżeńską.

Kurczę wychowywało się doskonale i wkrótce stało się oczkiem w głowie całej załogi. Pilnowano go ostro tym bardziej, że wkrótce stało się łakomym kąskiem dla Arabów, Włochów lub Hiszpanów, zależnie od portów, do których zawijaliśmy. Raz nawet Arab musiał je wydobyć z pod kurtki i jako zdobycz uniósł... podbite oko. Raz znów, na Sycylii, w czasie manewrów dobijania do mola, kura frunęła na ląd, lecz okazała się za ciężką i wpadła do wody, jak zwykłe w porcie pokrytej warstwą ropy. Zdawało się, że to już koniec jej żywota, lecz opiekun bez chwili namysłu skoczył za nią i wydobył ją z żywiołu, z którym dotychczas nie miała nic do czynienia.

Pływała sobie kura z nami, przemierzając kilka razy śródziemne i zdawało się, że nic jej nie ruszy, że stanie się prezentem dla pani Sz., tak jak wierny małżonek planował. Psy i koty dały jej nareszcie spokój, gdyż z wszelkich zasadzek i pościgów wychodziła zwycięsko. Przyzwyczaiła się do ognia artyleryjskiego i cała załoga oczekiwała momentu złożenia pierwszego jajka, gdy niespodziewanie zakończyła swój kurzy żywot.

A było to tak. Pewnego pięknego poranka zawinęliśmy do Algieru po długim pobycie na morzu. Załoga wyszła na ląd, wśród nich i opiekun kury, który nie najgorzej się zabawił na lądzie. Pamiętać trzeba, że Algier w tych czasach był prawdziwą ziemią obiecaną dla wielbicieli trunków i nawet notoryczni abstynenci zalewali sobie pały ze względu na ich taniłość,

jak i ich obfitość. Jeszcze dzisiaj anieleją twarze marynarzy na wspomnienie Algieru.

Tak opiekun kury wrócił na okręt w stanie zawianym. Ale jedna myśl przeszywała mu mózg, że nie dał kurze należytej racji wieczornej. Gromił siebie i swoją niedbałość. Wybrał się na pokład, gdzie po pewnych karkołomnych ewolucjach w ciemności, znalazł kurę w schowku na śródokrećciu. Wróciwszy z nią na pomieszczenie nakarmił ją bez trudu, większym problemem okazało się natomiast napełnienie kury. Woda w tych szerokościach była beczennym nektarem, cenionym wyżej czasami od wina. Wodę dystyluje się na okręcie, lecz trudność dostawy ropy sprawiała, że wodę odtwierano w określonych godzinach na zaledwie parę minut. Woda na noc była zamknięta. Pomimo usilnych poszukiwań nigdzie kropli wody lub kawy dla kury znaleźć nie było można.

Nareszcie problem ten rozwiązał jeden z kolegów, który jakimś cudem przysmugłował butelkę “Eau de Vine” przed okiem wachtowego. Butelkę otwarto, wylano odrobinę na talerz lecz kura nie chciała pić nieznanego trunku. Resztę butelki wypróżniono dając kurze lekcję picia, lecz to niewiele pomogło: kura pozostała głucha na wszelkie namowy. Opiekun jej sposobem stosowanym przez matki karmiące niemowlęta, lyżeczką napoił uparte stworzenie.

Po krótkim stosunkowo czasie, kura była zalana i zaczęła tańczyć foxtrota a całe towarzysztwo tańczyć dokola niej. Szczerze mówiąc żałowałem, że nie miałem aparatu filmowego, gdyż czytelnik by sobie boki rzywał widząc tę komedię.

Skutki pijaństwa okazały się dla kury fatalne. Na drugi dzień miała wymieniony apetyt, jednak wieczorem znaleziono ją nieżywą. Cała załoga szczerze jej żałowała, a najbardziej chyba jej opiekun, gdyż wraz z nią zniknął dowód wierności małżeńskiej.

Ze swej strony tylko dodam: niech mu małżeńska dola lekką będzie.

TEDDY

TOWARZYSZ BRONI

Powstawanie Marynarki Wojennej R.P.

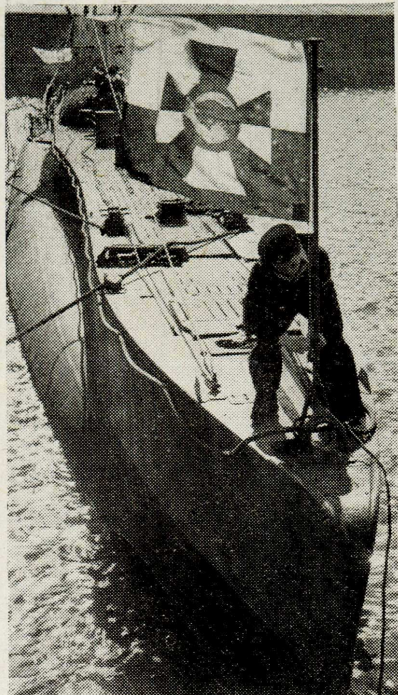
Pokład okrętu wojennego, na którym powiewa sztandar państwowy Rzeczypospolitej, w myśl prawa międzynarodowego, jest częścią Polski. Dziwnym obrotom sprawy — okręty stały się tą częścią Kraju naszego, która ani przez chwilę nie została okupowana przez wroga. Marynarka Wojenna R.P. jest też jedną częścią Sił Zbrojnych, prowadzącą bój z wrogiem nieprzerwanie — od chwili najazdu Niemców na Polskę.

Zaczątki Polskiej Marynarki Wojennej sięgają 1918 roku. 28 listopada tego roku wydany został dekret, którego treść, ku wiecznej rzeczy pamiątce, wyryto na głównej bramie Dowództwa Floty na Oksywiu, pod Gdynią. Dekret brzmiał: „Z dniem 28 listopada 1918 roku rozkazuje utworzyć Marynarkę Wojenną. Piłsudski”.

W działaniach 1919 roku — polskie jednostki rzeczne walczyły na Wiśle, Prypeci i Dnieprze. Dnia 10 lutego 1920 roku następująca zaślubiny Polski z morzem. Gen. Józef Haller, dowódca wkraczających na Pomorze wojsk, rzucił w morze pod Puckiem pierścień, na znak, że Polska powraca nad Bałtyk.

Utworzenie Wolnego Miasta Gdańska daje nam w rezultacie zaledwie jeden swobodny port rybacki, niewielkich rozmiarów — Puck. Potrzeby morskie nakazują nam budowę własnego portu. Staje się nim — Gdynia.

Dla Marynarki Wojennej dalszym krokiem rozwojowym — jest rozporządzenie ówczesnego Ministra Spraw Wojskowych gen. Kazimierza Sosnkowskiego z dnia



Proporzec Marynarki Wojennej

3 kwietnia 1922 roku, mocą którego utworzone zostaje Kierownictwo Marynarki Wojennej, jej broni i służb. W roku 1924 Dowództwo Floty przenosi się z Pucka na Oksywie pod Gdynią. Szefem Kierownictwa Marynarki Wojennej zostaje obecny wiceadmirał Świrski. Jest on Szefem Kierownictwa Marynarki po dzień dzisiejszy. Dowództwo Floty obejmuje kontradmirał Unrug, obrońca Helu we wrześniu 1939 roku; obecnie został on wywołany z niewoli niemieckiej.

Lista pierwszych jednostek morskich Marynarki Wojennej R.P. obejmowała: uzbrojony holownik „Pomorzanin”, oraz zdobyty na Niemcach ścigacz „Myśliwy”. Dołączyli też cztery, uprzednio niemieckie poławiacze min po 200 ton — o nazwach „Mewa”, „Jaskółka”, „Czajka”, „Rybitwa”, ponadto dwie, budowane w Finlandii kanonierki po 350 ton każda: „Komentant Piłsudski” i „Generał Haller”. W trochę późniejszym okresie Rada Ambasadorów przynajmniej nam pięć starych torpedowców niemieckich po 350 — 500 ton każdy. Są to torpedowce „Kaszub”, „Mazur”, „Kujawiak”, „Słazak”, „Podhalanin”.

Jest to cały nasz morski dobytek początkowy, nie licząc kilku statków pomocniczych. O.R.P. „Mazur” zginął po bohatersku we wrześniu 1939 roku, walcząc z przeważającą siłą wroga w Zatoce Gdańskiej.

Wszystkie te pierwsze Okręty Rzeczypospolitej /skróć: O.R.P./ dobrze się zasłużyły dla sprawy naszej Marynarki Wojennej. Przede wszystkim — w tak łagodnym społeczeństwie jak polskie, były krzewicielami idei morskiej. A ponad to przyczyniły się do wyszkolenia polskich marynarzy, których talenty, dzielność i odwaga zabłysnąć mogły dopiero w całej pełni w czasie bieżącej wojny.

Od tych chwil pierwszego naszego wyjścia na Bałtyk, jak dowiemy się z omówień następnych, Marynarka Wojenna R.P. rozbudowuje się i szkoli, dając rzeczywistości wiele ze siebie do ogólnego wysiłku Sił Zbrojnych.

MODLITWA

Słowa tej modlitwy są bardzo dawne: powtarzało je rycerstwo polskie przed zwycięstwem pod Chocimem. Ostatnio w Kraju doświadczonym ciężkimi próbami ta starodawna modlitwa znova weszła w użycie.

Bądź pozdrowiona Panno Matko Boga.
Ciebie prosimy wspomóż zwalczyć wroga.
Ocal nam Polskę w tym srogim frasunku.
Niechaj znów dozna Twojego ratunku.
Przyczyn się Panu, niech z Twojej obrony
Zbawienie błysnie dla Polskiej Korony.

Obojętne, czy znaleźliśmy się w obozie wojska polskiego w Szkocji pięć lat temu, czy też... pięć tygodni temu. Przyszliśmy, takimi, czy innymi drogami, takimi, czy innymi kolejami losu — z Polski i stąd idziemy do Polski, aby przynieść Ojczyźnie wolność. Jesteśmy synami naszego Kraju. Idziemy do Kraju, do Polski. O Kraju, o swoich rodzinach, domach, wsiach i miastach ciągle myślimy. W imię Kraju włożyliśmy mundur, złożyliśmy przysięgę wojskową i Orzeł Biały nas prowadzi.

Trwała w Kraju przez lat pięć okupacja niemiecka. Siedział i panoszył się po naszych miastach i wsiach wróg odwieczny, wróg od tysięcy lat — Niemiec. Dzisiaj wroga tego nie ma już na naszych ziemiach. Zapytajmy się siebie, czy po wypędzeniu Niemców — Kraj doczekał się wolności?

Musimy odpowiedzieć przecząco.

Po tylu latach cierpień i wysiłków — w Kraju wolności nie ma. A nie ma jej dlatego, że Polską rządzi obcy ludźmi, nastani ze Wschodu. Rządzi policja polityczna Związku Sowieckiego, zwana w skrócie NKWD.

W Kraju nie ma wolności. Natomiast rozpętało się tam okrutne prześladowanie tych Polaków, którzy mogą być groźni dla bezprawia sowieckiej okupacji. Więzy się i rozstrzelują w najbardziej niebezpieczny sposób — żołnierzy i oficerów Armii Krajowej, która walczyła z Niemcami nieprzerwanie przez pięć lat okupacji. Wywozi się szlakiem dawnych carów na Sybir całe rodziny jedynie za to, że należą do najbardziej uświadomionej części narodu.

Ale naród polski ma za sobą tysiącletnią przeszłość. Wie doskonale, że co pewien czas przetracały się po naszych ziemiach od początków istnienia Polski — hordy ciemnych, niosące zniszczenie. Nie było dotąd wypadku, żeby naród polski nie przyjął takiego dopustu boskiego z odwagą, spokojem i zaciętą wolą przetrwania. Najazd przychodził, wypalał się, i — odstępował.

A naród polski po każdorazowym najeździe zbierał się w garść, odbudowywał ruiny, leczył rany, a nawet krzepił i na przyszłe pokolenia znajdował siłę i hart. Nigdy naród polski nie uległ zniszczeniu. Nigdy się nie poddał przemocy, oparty mocno o tradycję własnego, tysiącletniego życia państwowego.

Tak będzie i teraz. Naród polski przemoce przetrzyma. Tak — jak to czynił wielokrotnie. Bo naród polski jest twardym narodem.

Z miejsc postoju

Dnia 26 kwietnia 1945 roku, w miejscu postoju obozu Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet, odbyło się zakończenie kursu „rekrutkiego” ochotniczek. Po nabożeństwie nastąpiło zaprzysiężenie ochotniczek, pośród których szkolili się również grupa byłych więźniarek straszliwego obozu Oświęcimskiego. Dostały się doń za działalność w ruchu podziemnym, cudem wyratowały się z miejsca kaźni hitlerowskiej. Między absolwentkami kursu natrafiliśmy również i na licznější grupę przedstawicieli Polonii emigracyjnej z Francji.

W obliczu przypuszczalnie szybkiego zakończenia działań wojennych na europejskim teatrze wojny — dnia 30 kwietnia 1945 roku w gazetkach ściennych, wydawanych przez Dowództwo Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, ukazał się artykuł wstępny p.t. „Całość i Niepodległość”. Czytamy w nim:

„Chwyciliśmy za broń, by bronić całości i niepodległości naszej Ojczyzny. Na niezliczonych polach bitew wojsko polskie przelewało i przelewa krew tylko za tę sprawę. Czyż mamy mówić tylko o żołnierzu umundurowanym, o żołnierzu, któremu szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił znaleźć się w szeregach — cały naród, wszyscy bez wyjątku, od lat sześciu walczy bez przerwy o to jedno.

„Całość i niepodległość — oto nasze cele wojny, i dopóki cele te nie są osiągnięte, nie pora nam cieszyć się zwycięstwem, nie pora myśleć o pokoju.

„Wojsko polskie na obczyźnie, jest dziś jedyną niezależną siłą, jaką uciemiężony naród polski rozporządza, jedyną nadzieją, która krzepi serca uciemiężonych rodaków. My nie złożyliśmy broni”.

Stosownie do apelu gen. Janusza Głuchowskiego, Dowódcy Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, po oddziałach prowadzone są zbiórki na fundusz pomocy rodakom, których ofensywa sojusznicza uwolniła z miejsc deportacji, pracy przymusowej, obozów kon-

centracyjnych i jenieckich. Rodaków tych jest paromilionowa rzesza. Pamiętajcie, że na nas wszystkich ciąży patriotyczny i obywatelski obowiązek ratowania tej masy narodu polskiego, którą srogi los wojny i przemoc wroga rzucił na ziemię niemiecką. Pamiętajcie o tym, i pomagajcie im w miarę swych sił i możliwości.

Dnia 3 maja 1945 roku w miejscach postoju w Szkocji, odbyły się żołnierskie obchody Święta Narodowego 3 Maja. W największych miastach Szkocji, jak Edinburgh i Glasgow, obchody te odbywały się szczególnie gorąco pod znakiem przyjaźni szkocko-polskiej. Na budynkach zajmowanych w Szkocji przez polskie władze wojskowe i polskie instytucje — podniesiono flagę polską. Flaga Rzeczypospolitej — powiewała również z budynków Zarządów Miejskich. Nad City Chambers w Edinburgh umieszczono trzy flagi: brytyjską, polską, oraz herbową Stolicy Szkocji.

Księża kapłani odprawili uroczyste nabożeństwa w kościołach garnizonowych i w kaplicach polowych miejsc postoju. Nabożeństwo w katedrze rzymsko-katolickiej Edinburgha, pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, odprawił Ks. Józef MacDonald, arcybiskup St. Andrews i Edinburgha, który udzielił zebranyemu swego pasterskiego błogosławieństwa. Na nabożeństwie obecny był gen. Głuchowski — Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii. W katedrze prezbiteriańskiej /kalwińskiej/ Edinburgha St. Giles/ to jest pod wezwaniem Świętego Elżgusza/ odprawione zostało polskie nabożeństwo ewangelickie przez kapłana wyznania ewangelickiego w Dowództwie Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanii, ks. Matza.

Po wysłuchaniu nabożeństw — w oddziałach odbyły się okolicznościowe pogadanki lub akademie w nawiązaniu do rocznicy wielkopomnej Konstytucji Majowej.

Cieszyn położony nad rzeką Olzą i parę przylegających doń powiatów — stanowił razem Śląsk Cieszyński, południowo-zachodni zakątek Rzeczypospolitej. W czasach bardzo dawnych, przed laty tysiącem, Śląsk był całością. Różne koleje losów, którym Śląsk podlegał wytworzyły odrębności. Górny i Dolny Śląsk przez ponad ostatnich dwieście lat należał do Prus, gdy Śląsk Cieszyński, albo inaczej Księstwo Cieszyńskie, wchodził przed zakończeniem tamtej wojny światowej do monarchii austro-węgierskiej.

Miasto Cieszyn, jedno z najstarszych miast polskich, powiązane jest z Ojczyzną mnóstwem legend. Szczegół ciekawy: tutaj, w połowie XVII-go stulecia wymarł ostatni Piastowie, potomkowie pierwszej dynastii, panującej w Polsce.

Śląsk Cieszyński jest typową ziemią kresową. Od zachodu, przez Śląsk Górny, napierała na polskość niemiecka. Na południe Śląsk Cieszyński graniczył z obszarem czeskim. Pomimo naporu obcych wpływów z zachodu i południa — Śląsk Cieszyński uchował się jako jedna z ziem najbardziej jednolicie polskich.

Dlaczego? Dlatego, że na straży polskości Ziemi Cieszyńskiej stał lud. Górnik z Karwiny, hutnik z Trziny, rolnik z Cierlicka, górnik z Jabłonkowa. Na straży polskości tej ziemi stała gorąca wiara religijna ludu cieszyńskiego. Symbolami tego do głębi polskiego, religijnego przywiązania, są zarówno ewangelicki ks. Michejda, jak i katolicki ks. Londzin.

Odrodzenie polskości przez wieki wynaradawianego Śląska Cieszyńskiego, rozpoczęło się w roku 1842, gdy podjęli swą działalność Paweł Stelmach i Jan Bujak. Wydarzenia Wiosny Ludów roku 1848 odbiły się głośnym echem w Cieszyńskim. Narodził się tam wówczas „Tygodnik Cieszyński”, który walczył się przyczynił do odrodzenia polskości tej ziemi.

Budzące się na Śląsku Cieszyńskim organizacje polskie, zarówno ewangelickie, jak i katolickie, utworzyły w roku 1885 „Macierz Polską” Księstwa Cieszyńskiego,

której ożywiona działalność była wielkim krokiem naprzód w odradzaniu się polskości tej piastowskiej ziemi.

Za czasów austriackich — Śląsk Cieszyński dawał posłów Polaków. Gdy po rozpadnięciu się Austrii, Czesi złamali porozumienie z Polską i zagarnęli większość Cieszyńskiego, ludność również wybierała Polaków jako swoich przedstawicieli do Sejmu w Pradze.

Niewątpliwie, spory z bratnimi narodami są obustronnie tragiczne. Takim sporem jest czesko-polski spór o Śląsk Cieszyński. Spór ten jedynie rozstrzygnąć może lud cieszyński, który we wszystkich powiatach historycznej Ziemi Cieszyńskiej mówi po polsku, z wyjątkiem powiatu Frydeckiego, gdzie jest większość mówiąca po

czesku. Skrajem też powiatu Frydeckiego biegnie najszlachetniejsza, bo oparta na rzeczywistym zasiedleniu narodowym granica, dająca podstawę do rozwiązania sporu bez pokrzywdzenia.

Jednak w tej wojnie dokonuje się plebiscyt wolności, plebiscyt krwi. I sami najlepiej wiecie, pod czym godłem w Siłach Zbrojnych walczą o wolność swej ziemi — Ślązacy Cieszyńscy. I sami wiecie, ilu Ślązaków Cieszyńskich podczas tej wojny poległo na morzach, w powietrzu i na ziemi, po to, by Ziemia Cieszyńska na wieki wieków mogła być połączona ze swoją Ojczyzną. A jeszcze więcej Ślązaków Cieszyńskich poległo na własnej Ziemi. Zostali oni zamordowani rękoma niemieckiego najeźdźcy.

Marek Świącicki ‘WITH THE RED DEVILS AT ARNHEM’

z licznymi fotografiami, cena w półrocznej opłacie 636.
Do nabycia wszędzie lub bezpośrednio u wydawcy:
MAXLOVE PUBLISHING CO., LTD., 13, Bradley's Buildings, White Lion Street, London, N.1.

Pomoc amerykańska dla Rosji

Amerykański przemysł wojenny zasila nie tylko prowadzone na wielką skalę działania wojenne na Pacyfiku oraz na europejskim froncie zachodnim. Olbrzymie dostawy materiału wojennego dla Rosji w wysokim stopniu przyczyniają się do powodzenia ofensywy sowieckiej na europejskim froncie wschodnim. Opublikowane ostatnio cyfry dostaw amerykańskich dla Rosji mówią same za siebie.

Dzienniki amerykańskie dając te cyfry podkreślały, że na niektórych odcinkach frontu wschodniego, ponad połowa samochodów ciężarowych dostarczająca zaopatrzenie na front jest pochodzenia amerykańskiego.

A oto niektóre cyfry dostaw amerykańskich dla Rosji w ramach tak zwanego „Lend-Lease” w okresie od października 1941 do grudnia 1944:

331.000 pojazdów mechanicznych, w tym 45.000 „jeepów”.

29.000 motocykli;
1.045 parowozów, 7.164 odkrytych wagonów kolejowych, 1.000 krytych wagonów i 100 cystern;
145.000 karabinów maszynowych, 1.800 dział samobieżnych, 13.000 rewolwerów i 8.200 dział różnego kalibru;
6.000 czołgów, 3.300 opancerzonych samochodów zwiadowczych;
60 ruchomych elektrowni zainstalowanych w pociągach;
2.120.000 ton stali, przeważnie dla budowy linii kolejowych;
11 milionów par butów wojskowych, 97 milionów jardów sukna bawełnianego, 50 milionów jardów sukna wełnianego;
294.000 ton materiałów wybuchowych;
1.300.000 ton produktów naftowych;
638.000 ton produktów przemysłu chemicznego;
733.000 ton różnych metali /aluminium, miedź/.

W oddziałach, które nie otrzymują dostatecznej ilości egzemplarzy „Polski Walczącej”, należy odciąć te kartę i umieścić na ścianie w widocznym miejscu. „Towarzysz Broni” winien docierać do wszystkich.

DO BYŁYCH JEŃCÓW

W związku z wzrastającą z dnia na dzień ilością zwalnianych jeńców Polaków i Polek, podajemy do wiadomości zainteresowanych Kolegów i Koleżanek, że na terenie Wielkiej Brytanii istnieje Związek b. jeńców z niewoli niemieckiej.

Reprezentując jako jedyną organizację koleżeńską sprawy jeńców wojennych, Związek w miarę możliwości roztacza nad nimi opiekę, współpracuje z czynnikami urzędowymi i społecznymi w sprawach jeńców oraz rozwija działalność samopomocową — koleżeńską i służy informacjami i poradami.

W sprawach o przyjęcie do Związku, o porady i informacje należy zwracać się do Polish Ex-Prisoners of War Association, c/o Polish Red Cross, 34, Belgrave Square, London, S.W.1.

ARCHIWUM ZWIĄZKU
ARTYSTÓW SCEN POLSKICH:
GNIAZDO LONDYN

W związku z koniecznością utworzenia archiwum, w którym gromadzone będą pamiątki wiążące się z pracą teatralną tak zespołów zawodowych jak i amatorskich na obczyźnie, Zarząd Związku, Gniazdo Londyn, zwraca się z gorącą prośbą do wszystkich osób posiadających fotografie, afisze teatralne, teksty sztuk czy rewii, nuty, płyty gramofonowe i t.p. o łaskawe nadsyłanie wspomnianych pamiątek na adres: Z.A.S.P. 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Oddaj swoje polskie książki Polakom uwolnionym z rąk niemieckich. Przesyłki kierować należy na adres: World League of Poles Abroad, 38, Wilton Crescent, London, S.W.1.

Na Polaków uwolnionych z Niemiec

Proszę przekazać kwotę £10.10.0 /dziesięć funtów i dziesięć szylingów/ na Fundusz dla Polaków w Niemczech. Powyższa kwota została zebrana przez rannych oficerów i szeregowych, przebywających na leczeniu w "Stracathro-Hospital" w Szkocji.

S.... Wilhelm

W imieniu ochotniczek III plutonu I komp. PWSK przesyłam na ręce P. Redaktora Money Order na sumę £12.1.1. Pieniądże te zostały zebrane w dniu zakończenia XV Podstawowego Kursu Przeszkolenia Wojsk. i stanowią nadwyżkę zbiórki na kwiaty pożegnalne dla mnie. Ochotniczki proszą o przekazanie pieniędzy na cel według mego uznania, przeto proszę P. Redaktora o dołączenie tej sumy do Funduszu pomocy Polakom w Niemczech; myślę, że ofiarodawczynie uznają to za słusne, gdyż wiele z nich wie z własnego doświadczenia czym było życie Polaków w niemieckich obozach pracy przymusowej.

ppor. H.T. kom. III plut.
I komp. P.W.S.K.

Przesyłam na ręce P. Redaktora kwotę £1 /słownie: jeden funt/ na

Fundusz pomocy Polakom w Niemczech. Dla zachęcenia innych ofiarodawców uprzejmie proszę o zamieszczenie następującej notatki: "Mjr. G. wpłaca £1 na pomoc Polakom w Niemczech, jako wygrany zakład z ppłk. dypl. L. co do daty zakończenia wojny".

R. Gilewski

W załączeniu przesyłam £1 /jeden funt/ na fundusz Polaków uwolnionych z Niemiec.

"Bezimiennie"

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £10.17.9 /słownie: dziesięć funtów, siedemnaście szylingów i dziewięć pensów/ jako czysty dochód z urzędowej imprezy — z przeznaczeniem na P.C.K. "Na Polaków uwolnionych".

D-ca 1 Kolum. Sam. Sanit.
S.H., kpt.

W załączeniu przesyłam przekazy na £3 /trzy funty/, które złożyli na pomoc uwolnionym z obozów niemieckich — żołnierze... Kompanii Ośrodka Zapasowego i Dywizji Pancerniej.

Oficer Opieki
L. ppor.

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £4.13.8 /cztery f. szterl., trzynaście szyl., osiem pensów/.

Sumę tę zebrali szeregowi... baterii Sam. Dyonu Art. Plot. C. z przeznaczeniem dla jeńców polskich w obozach niemieckich.

Z r. Adjuvant Baonu
/—/ B. por.

Dear Sir,

I should be very glad if you will accept the enclosed p.o.s. £2 as a voluntary contribution for the help to Fund for Polish Children in Germany.

F.R.

Zebrani na uroczystym nabożeństwie w dniu 3-go maja, Polacy-Ewangelicy, pragnąc w dniu Święta Narodowego złożyć hold obrońcom Warszawy, która stała się symbolem walki o wolną i niepodległą Polskę, składają £5 sh.10 /pięć funtów, sh. 10/ z przeznaczeniem na pomoc dla Polek, obrończyni Warszawy, wyzwolonych z niewoli niemieckiej.

Polsko-Ewangelickiej Parafii
Rada Kościelna
w Londynie

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir,

Please accept this small £5 donation in aid of "The Polish Children Rescue Fund", and I hope it may help to bring happiness to some of the children.

With all best wishes,

Yours sincerely,

Catherine S. Greaves

NA POMOC WARSZAWIE

Upoważniony przez Zarząd Kasyno Podoficerskiego No. 2 przesyłam sumę £10.3.4 /słownie: dziesięć funtów, trzy szylingi i cztery pence/, którą to sumę proszę przekazać na Lady Sinclair's Warsaw Fund. Na sumę powyższą złożyli się: 1/ £1 dar brytyjskiego oficera łącznikowego mjr. W., 2/ £9.3.4. netto ze sprzedaży biletów na zabawę taneczną w dn. 14.IV.45 w Kasynie Podoficer-

skim No. 2.

M.K. plut.

NA RANNYCH ŻOŁNIERZY

W załączeniu przesyłam sumę £1 /jeden funt/ z przeznaczeniem na rannych.

Sumę tę otrzymałam jako należność za odbijanie tablic, przekazał student wydz. Mechanicznego, p. Konstanty Kościuszko.

Sekretarz Rady Ak. Szkół Techn.

PIERWSZE ECHA

Krażą pogłoski, że rozmowy "Wielkiej Trójki" i "małej trójki" toczą się w serdecznej przyjaźni, jak gdyby pod hasłem: "trzy po trzy".

USPRAWIEDLIWIENIE

Jeden z katów hitlerowskich tłumaczy się przed Amerykaninem w Buchenwaldzie:

—Ależ ci wszyscy więźniowie jedli to samo co nasz Hitler! On przecież przez całe życie też nie wiał mięsa do ust!...

WYSTARCZY...

—Proszę pana, czy Turcja i Egipt walczą gdzieś z Niemcami?

—Mój panie, dzisiejsza wojna wymaga zbrojeń i czasu... Wystarczy, że państwa te biorą udział w konferencji pokojowej w San Francisco...

PRZYZNAŁ SIĘ

Przed bramą u św. Piotra spotykają się: Goebbels, Goering, Hitler i Mussolini. Hitler mówi do Goebbelsa:

—Pukaj pierwszy! Czy umiesz zagadać?

—Kiedy straciłem język w gębę!

—To niech Goering puka. On jest silny!

—Kiedy ja jestem chory na serce!

—To niech Mussolini kołacz!

—Ja??? Znowu chcesz mnie wpakować w jakieś nieszczęście?! Pukaj sam!

—Czemu? Przecież wiesz, że straciłem głowę...

Niezrównanemu modelowi, najbrzydszej twarzy na świecie, najfotogeniczniejszemu właścicielowi wąsików, świetnemu dostawcy tematów i humoru przez okres 13-tu lat —

ADOLFOWI HITLEROWI

tych kilka wierszy poświęca pograżony w pustkę dowcipów,

autor "Werinajseka"

Tony

SOBOWTÓRY HITLERA NA
TAMTYM ŚWIECIE



—A ja wam mówię, że Hitler żyje... tylko nas wzięli przez pomyłkę...

PO AWANSACH...

Dowódca zapytuje kaprala: —To pewnie cieszy się, że zostaliście plutonowym?

—O tak, panie majorze! Wreszcie dostanę przydział w hiszki!...

DOWCIP SZKOCKI

Szkotka zwraca się do lekarza: —Panie doktorze, błagam o pomoc! Jutro przyjeżdża mój mąż ze Środkowego Wschodu — po pięciu latach. W domu zastanie synka. Ma już dwa latka i jasne włoski. Mój mój jest brunetem! Co mam robić?!

—Niech pani synkowi przemaluje włosy!

—A co będzie później?

—Nim wojna się skończy i pani mąż przyjedzie na drugi urlop, to już synek pani dawno wyżysieje...

POMIESZANIE JEZYKÓW

Mówią, że konferencja w San Francisco ma być przeniesiona na Bliski Wschód — w pobliże biblijnej miejscowości Babel. Może tam narody znajdą wspólny język...

KONKURS

Biuro Opieki nad Żołnierzem M.O.N. ogłasza konkurs na zaprojektowanie tytułów dziesięciu /10/ broszur do Biblioteki Żołnierskiej, mogących interesować najszersze masy żołnierskie.

Warunki konkursu:

1/ projekt powinien zawierać tytuł jednej broszury,

2/ tytuł wolno wyjaśnić w trzech krótkich zdaniach,

3/ tematy mogą być różne z wyłączeniem tematów nadających się do rozpraw naukowych lub podręczników do nauki i do rozpraw ściśle politycznych oraz takie tematy, by treść broszury, która później będzie opracowana przez wybranych autorów, mogła być ujęta najwyżej na 30-tu stronicach maszynopisu,

4/ za najlepsze projekty są wyznaczone nagrody:

jedna w wysokości ... £10
dwie po ... £ 5
dziesięć po ... £ 1

5/ projekty będą podlegały ocenie Komisji /jury/ wyznaczonej przez Szefa Biura Op. nad Żołn.

6/ w konkursie mogą brać udział wyłącznie szeregowi,

7/ projekty należy nadsyłać listami do Biura Opieki nad Żołn. Wydział Prac Kult.-Ośw., Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1 w terminie nieprzekraczalnym do dnia 31 maja 1945. Do listu należy dołączyć w zamkniętej kopercie kartkę z podaniem nazwiska, imienia, stopnia, przydziału służbowego i adresu.

Wystawa obrazów Szkoły Paryskiej /Picasso i współcześni/ zorganizowana przez Lady Jersey na pomoc British Committee for Polish Welfare z przeznaczeniem zebranych funduszy na akcję kulturalną wśród byłych jeńców wojennych i robotników na terenie Niemiec, mieści się w Lefevre Gallery, 131—134, New Bond Street, W.1.

NA FINISZU...

Mówią, że nim wojska sowieckie wkroczyły do Berlina — już w stolicy Rzeszy byli pierwsi Czesi, wznosząc okrzyki: "My sem už tadi!"

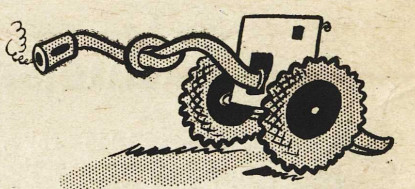
JESZCZE WĄTPLIWOŚCI

W kinie w czasie wyświetlania filmów z obozów koncentracyjnych w Niemczech, jedna Angielka zwraca się do drugiej:

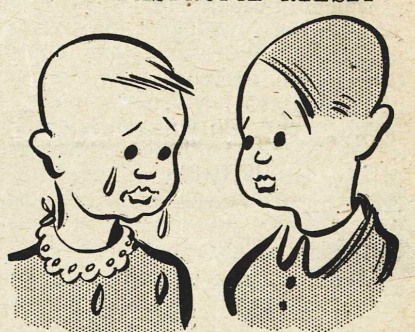
—Nie mogę uwierzyć, by tych ludzi mogli zamordować Niemcy!

—Ja też nie mogę pojąć! A może to ofiary niewprawnych lotników?...

KONIEC WOJNY



WŚRÓD DZIECI NIEMIECKICH
PO KATASTROFIE RZESZY



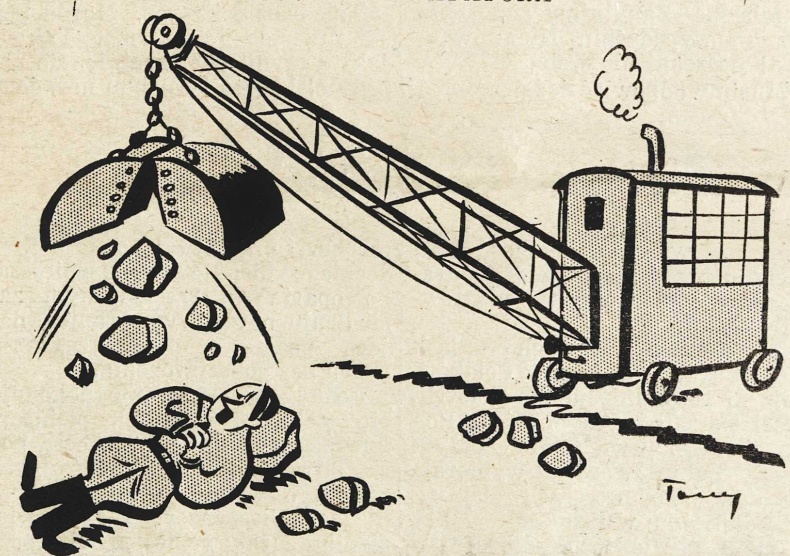
—Ty mi nie płacz, jeszcze odegramy się za kilka lat. Pamiętaj, że do trzech razy sztuka...

Tekst i rysunki: TONY

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

POGRZEB DYKTATORA



... "Niech mu ziemia lekka będzie!..."

ROZMOWA W SZKOCJI

—Pan wybiera się do Londynu na "Victory day"?

—Nie! Następnym razem pojedę...

SZCZĘŚCIE
W NIESZCZĘŚCIU

—Co za szczęśliwe państwo ta Czechosłowacja. Pierwsza była zajęta i ostatnia będzie wyzwolona...

MÓWIĄ

Podobno Czesi wysłali do admirała Doenitza ultimatum, wzywające Niemców do bezwzględnej kapitulacji pod warunkiem: "pokój za wszelką cenę"...

NOWE OKREŚLENIE

O Japonii mówi się obecnie: "Kraj zachodzącego słońca"...

HAVE YOU ANY
SKIN TROUBLE ?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Zwycięstwo. — Zastępca: Przegląd tygodniowy. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Poradnik żołnierski. — Aleksander Janowski: Cień nad pokojem. — Gustaw Gazda: Zapomniana ziemia słowiańska. — Gustaw Nierad: Powrót do dywizjonu. — Apel o pomoc dla Polaków w Niemczech. — Bolesław K. Piekarski: Bierzymy odwet za krzywdy. — Stanisław Sikorski: Gaz, syn Gazy i Aza. — Teddy: Arabska kura. — Towarzysze broni. — Na Polaków uwolnionych z Niemiec. — Na Polish Children Rescue Fund. — Na pomoc Warszawie. — Na rannych żołnierzach. — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

JUŻ WERÓTCE UKAZAŁ SIĘ W SPRZEDAŻY
SŁOWNIK POLSKO-FRANCUSKI I FRANCUSKO-POLSKI

z wymową
(Kielski, stron 780, cena 12/6)

SŁOWNICZEK POLSKO-NIEMIECKI I NIEMIECKO-POLSKI

(Zimmerman, stron 390, cena 7/6)

Nakładem Tadeusza Kowalskiego, 15, Orsett Terrace, London, W.2.

Całą rozprzedaż oddano firmie:

KIOSK KSIĘGARSKI, "Ognisko Polskie," 45, Belgrave Square, London, S.W.1. i tam TYLKO należy zgłaszać wszelkie zamówienia.

596

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową w Wielkiej Brytanii i zagranicą 1 sh. 6 d., kwartalnie 4 sh. 6d. Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "POLSKA WALCZĄCA" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

Przysmaki do Jedzenia
sporządzone przez
skandynawskich ekspertów

Sardele

Duńskie Hors d'oeuvres

Kryddersild (śledzie maryn.).

Pakowane w słoikach ½ gal.
oraz 10-cio uncjowych.

Informacji udziela:

Macrae Delicatessen Ltd
Fairlie Ayrshire